

## NASZA ODPOWIEDŹ

Tragizm obecnej Polski sięga swych szczytów.

Nie było w dziejach świata niczego, co mogłoby być porównane z martyrologią Narodu Polskiego czasu tej wojny, z planowym, systematycznym wyniszczeniem wojennym, gospodarczym, politycznym i biologicznym. Niemcy robili to jawnie i bez osłonek. Mordowali miliony obywateli polskich w Majdanku i Oświęcimiu. Czerwoni kaci fałszywie obiecując swe poparcie w budowie „wielkiej i potężnej Polski” z zimną krwią wymordowali przedtem w lasach katyńskich dziesięć tysięcy naszych bezbronnych oficerów, setki tysięcy Polaków wywiezionych w głąb Sowiecień uśmiercili głodem, zimnem i nadludzką pracą, a obecnie przez zaprzędanych sobie agentów metodami teroru i zdrady poddają sowietyzacji okrojona Polskę.

Cieężko jest myśleć, że nasi sprzymierzeńcy łamiąc zainicjonowane przez samych siebie umowy, sprzeniewierzając się elementarnym pojęciom braterstwa broni i własnym demokratycznym zasadom potrafili wyrazić zgodę na oddanie w niewolę trzydziestopięciomilionowego narodu, uznali bandę obcych agentów, zdrajców i kryminalistów za „rząd polski”, samowolną decyzją pozbawili Polskę połowy jej terytorium, a dziś postanowili rozbroić sprzymierzona polską armię i w ten sposób dokończyć dzieła tak skutecznie rozpoczętego przez Niemców i systematycznie kontynuowanego przez Rosję.

„Demobilizacja” armii polskiej, jak to już pisaliśmy w naszym piśmie — nie jest niczym innym, jak aktem przemocy w stosunku do Polski jako suwerennego państwa, w stosunku do wojska, związanego przysięgą ze swoimi prawowitymi władzami, w stosunku wreszcie do każdego poszczególnego żołnierza, który swą krwawą pracą na polach tyłu bitew przyczynił się do zwycięstwa nad Niemcami.

Za wielki wkład, jaki Polska wniosła do wspólnej, zdawałoby się, sprawy, za niezliczone ofiary, za wierność sojusznikom i demokracji — ta demokracja obiecująca dziś żołnierzowi polskiemu łaskawe udziele-

nie prawa pracy w bliżej nie określonych miejscach kuli ziemskiej, gdzie „zdemobilizowany” żołnierz ma swym wysiłkiem przyczynić się do rozbudowania cudzego dobrobytu, gdy ojczyzna jego, do której w istniejących warunkach wracać nie może, zakuta w kajdany niewoli — jest jedną wielką ruiną.

Tej decyzji zlikwidowania naszego wojska zaczyna towarzyszyć głosy z łona angielskiej opinii publicznej wyrażające niezadowolenie z napływem na wyspę 200.000 Polaków, którzy obecnością swą mogą pogorszyć warunki rynku pracy. Wygodne, zmateriałizowane społeczeństwo angielskie wolałoby niewątpliwie, aby niepotrzebny mu już żołnierz polski w ogóle przestał być przykrym kłopotem i zawstydzającym wyrzutem sumienia, aby po prostu znikł z widowni wydarzeń i odszedł, jako narzędzie w stosunku do interesów wielkich mocarstw już zużyte, w niebyt polityczny.

Takie jest z wszelką pewnością stanowisko angielskie. Na to postawienie sprawy należy się wyraźna, otwarta ze strony polskiej odpowiedź.

Elementy jej zawarte są w enuncjacjach Prezydenta R.P. i naszego Rządu. Są jednak ubrane w nieuniknioną zapewne w obecnej sytuacji — aż nazbyt kurtuazyjną formę, niezbyt licującą z brutalnością i samowolnością angielskich decyzji i dlatego nie mogą być pełnym wyrazem zarówno opinii Kraju, jak i uchodźstwa, których reakcja nie ulega żadnej wątpliwości.

Ta postawa jest twarda, surowa i nieugięta. Polska nie dała się zdemoralizować ani małoduszna polityką szukania najłatwiejszych dróg rządu gen. Sikorskiego, ani zdradziecką służbą obcym agenturom, reprezentowaną przez p. Mikołajczyka, tak niestety długo utrzymywanego przy władzy przez jego kolegów rządowych. Polska nie załamała się w swej wierze, nie poddała się złym siłom żerującym na jej ciele i w żadnej sytuacji nie zrezygnuje ze swych słusznych praw do życia, których jej dzisiaj zaprzeczają zarówno wro-

gowie, jak i sprzymierzeńcy.

Kapitałnym tego wyrazem jest rozkaz generała Andersa w związku z rocznicą zgonu Marszałka Józefa Piłsudskiego. Jeśli przypomnimy sobie stosunek naszych sfer oficjalnych — od powstania rządu Sikorskiego niemal do chwili obecnej — do osoby Marszałka Piłsudskiego, jego pracy państwowej i testamentu ideowo państwowego przez niego pozostawionego; jeśli przypomnimy sobie, że stosunek ten urągał prawdzie historycznej i olbrzymiej większości Polaków; kiedy zestawimy to z faktem, że w siódmym roku wojny najwybitniejszy dziś dowódca wojskowy powodując się zarówno zrozumieniem roli Wielkiego Marszałka w historii naszej, jak i żołnierskim wyczuciem tego, co gra w duszy polskiej coraz silniej, stwierdza, że wojsko przez niego dowodzone idzie w twardą przyszłość pod znakiem idei reprezentowanej przez Piłsudskiego — to wymowa tego rozkazu nabiera specjalnego znaczenia.

Bo całe życie Piłsudskiego było nieustępliwym zwalczaniem wszystkiego, co Polsce samodzielność jej bytu, pracy i polityki pragnęło odebrać zarówno ze strony czynników obcych: wrogów i sprzymierzeńców, jak i ze strony elementów rodzimej ugody, słabości i wysługiwania się obcym.

Nawrót do postaci Piłsudskiego właśnie teraz, w tej najtrudniejszej chwili naszych dziejów, świadczy

aż nadto wyraźnie, jaką Polska daje odpowiedź tym wszystkim, co imię jej chcą wykreślić z bytu politycznego, lub tym, co na to wykreślenie się godzą.

Jednocześnie rozkaz gen. Andersa jest skuteczną, daj Boże, lekcją dla naszych czynników rządowych, które dotychczas jeszcze nie zrozumiały, jak nieistotna jest organizacyjna i polityczna podstawa, na której się uformowały, i jak istotnych zmian myślowych i politycznych potrzeba, aby Rząd mógł być nie tylko symbolem trwania państwa, ale istotnym kierownictwem Polski walczącej, tej Polski, która — jak to słusznie w swej intuicji żołnierskiej ujmuje gen. Anders — jest coraz bardziej Polską Józefa Piłsudskiego.

Mogą Anglicy rozwiązywać naszą armię — w chwili obecnej są od nas silniejsi. Mogą, jak to zrobił Churchill, uznać linię Curzona za słuszną granicę rosyjsko-polską. Mogą również uznawać „rząd” Bieruta i Osutki, mimo iż jest to klasyczny rząd quislingów.

Polska nie zaakceptuje tego nigdy.

Piłsudski nauczył nas myśleć i działać nie tylko w doraźnych i przejściowych sytuacjach, ale i w perspektywie historycznej, stanowiącej dla każdego narodu teren walki, upor, determinacji i tej wielkiej woli państwowej, której Polsce Piłsudskiego na pewno nie zabraknie.

J.J.

IGNACY MATUSZEWSKI

## 1. OSTATNIE WOJSKO EUROPY

Odbiorą oręż żołnierzowi polskiemu jego brytyjscy i amerykańscy towarzysze broni. Zedrą zeń oznaki: orla białego, co nad lignickim uniesiony polem przed siedmiu już wiekami, zboczonym skrzydłem od dzyngischanowego osłonił Europę najazdu. Odejmną sztandary, jako chwała czysta — białe i jak rana — czerwone. Do cekhauszów je złożą, aby je kurz zapomnienia *czym prędzej* przysypał. Rozproszą pulki, których rozbić nie potrafili wrogowie, zniszczą wojsko, co — poległe, zdawało by się — znów powracało z podziemi. Zamiast broni w rękę dadzą kij pielgrzymi, zamiast ładownicy — sakwę żebracza. Wyrzekną się braterstwa i domy swoje zamkną przed tułaczem ucząc go mądrze, że dla niewoli jest stworzony i jeśli pod jarzmo karku nie ugina, tedy szaleństwu daje świadectwo i jako szalony odpędzony ma być od stołu biesiady i od stołu rady, od prawa ludzkiego wyjęty i wydziedziczony między narodami.

O, szaleni! Szaleni ci właśnie, co Polaków chcą uczyć mądrości poddania, łaski niewoli, wypoczynku uległości. Szaleni — nie widzą, że kiedy sztandary polskie, co jeszcze powiewają, w dół ściagną — wówczas ostatnie rozbroją wojsko Europy i nad jej ziemią, wszystkim nam wspólną, podniosą brudną szmatę kapitulacji.

Wojsko polskie jest nie tylko Polski wojskiem — jest ostatnim, istniejącym jeszcze, wojskiem Europy. Te setki tysięcy — oto wszystko, co zostało w tej chwili po wiekach, wypełnionych przeszłością wspólną nam wszystkim.

Nie ma armii francuskiej, co kiedyś brawurą i przenikliwością rozstrzygała losy kontynentu — nie ma armii francuskiej, bo nie może być armii narodowej tam, gdzie na ławach rządu siedzą najemni dzyngischana i o losach jej stanowią. Nie ma armii włoskiej, bo wskresić jej nie dadzą oprycznicy moskiewscy, dziś w Rzymie samym sięgający po władzę. Za niewidzialną li-

nią, co Europę wpoń przecięła, roi się różnojęzyczne zbrojne mrowie nowych janczarów przeciw Europie, ćwiczonych moskiewską komendą i moskiewskim knutem, karmione z ręki wrażej zdobyczym, zrabowanym chlebem.

Wojsko polskie jest ostatnim wojskiem Europy. Ono jedno odmówiło posłuszeństwa najeźdźcom. Ono jedno nie skłoniło sztandarów przed żadnym z nich. Ono jedno wytrzymało w posłuszeństwie prawu własnemu i w gotowości do walki jeden przeciw stu, jeden przeciw tysiącom. Ono jedno ostało się między Atlantykiem i Uralem — niedotknięte pokusą zdrady, niezmącone znużeniem, niezłamane naciskiem, przeszłości odwiecznej wierne, przeszłość dalej gotowe własnym ciosać ramieniem. Rażone pociskami — i odradzające się, jak gdyby każdy poległy dwóch przywoływał na zastępstwo braci; miażdżone liczbą — i zrywające się do nowej walki; nie wiązane żadnym przymusem — a gromadzące się wciąż

na nowo, jak gdyby zew milczący mocniejszy był od każdej przeszkody; z każdej klęski, własnej i cudzej, zmartwychwstające z ogniem w oczach i zaciśniętymi ustami — to wojsko polskie było i jest nieodpartym świadectwem, że leżąca w ruinach Europa nie umarła, lecz żyje, nie kapituluje, lecz walczy.

Wojsko polskie jest ostatnim wojskiem Europy. Za każdy jej kraj żołnierz polski walczył i umierał. Kiedy mglistym wrześnieowym rankiem zawisły nad Warszawą srebrzyste jastrzębie i dymy wstały ku pogodnemu njebu czarnymi słupami — wiedzieliśmy, że jak tylekroć własną ruiną i pożogą dalekie osłaniamy miasta, dalekich bronimy ludzi, co wspólną z nami mają przeszłość i wspólną z nami poprzysięgli mieć przyszłość. Kiedy walczył i umierał samotnie żołnierz generała Bortnowskiego nad Bzurą, żołnierz generała Kleberga w lasach lubelskich przeciw dwóm jednocześnie największym bijąc się armiom świata — nie tylko honoru bronila nieublagana zaciętość, nie tylko dumą polska tysiękrotnego czoła stawiała przemocy, ale pewność, że walczyć trzeba do ostatniego naboju, aby ocalić całość, że bić się trzeba do śmierci, aby dać świadectwo i przykład. Świadectwo, że żywa jest Europa, której stolicą we wrześniu stała się płonąca Warszawa. Przykład, że taką tylko walką ocalić ją można, że tak za nią umierać należy.

Ostatnie później oddał strzały tam, gdzie Europa pod Koło Polarne sięga — żołnierz polski. Ostatnie oddał strzały wśród winnic omdlalej Francji — żołnierz polski. A kiedy powrotna uderzyła fala — dywizje polskie były jedynym wojskiem, co powracało na wybrzeża Europy, jedyną stamtąd armią, co przetrwała potop. Wśród ludzi z wysp bliskich i łądów dalekich, którzy — dziś widzimy — po to przyszli, by Europę dzielić, on powracał, aby o jej wskrzeszenie krwią i ogniem się modlić, by za jej zmartwychwstanie umierać. Kiedy boskim zrzędzeniem opactwo św. Benedykta polskimi wolnościami przywrócone zostało rękami, kiedy do Rzymu wiodąca Via Appia polskim została otworzona szturmem — wówczas oddając „duszę Bogu, ciało ziemi włoskiej, a serce Polsce”, żołnierz polski za wszystkie narody Europy dawał ponownie świadectwo jej wieczystego życia, jej świętych praw do wolności.

Jutro będzie przybysz z wysp brytyjskich, przybysz z kontynentu ame-

rykańskiego rozbrajał rękoma własnymi polskiego towarzysza broni na polach wspólnych walk i wspólnych zwycięstw. Nie tylko Polskę tym czynem zdradzi i zaprzeda, nie tylko siebie zhańbi i poniży. Choć w zgiełku przez fałszywych czynionych proroków prawda podziemnym biegnie nurtem, szepciem się z ust do ust przenosi, ręką nieśmiała o zmroku do okien i sumień puka — przecież nie można przesyć strzałem jej przezroczyściej postaci, ani zatrzeć śladu jej lekkich kroków, ani zatrzymać jej chyżych stóp. Z chwilą, gdy rozbrojone będzie wojsko polskie — samotne dzisiaj, jak samotnym było we wrześniu — pojmie w milczeniu każdy naród Europy, pojmie każdy człowiek żyjący w jej ruinach, że wyrzekają się jej właśnie i jej całej, jak matki córki wyrodne — Anglia i Ameryka.

Nie nasza, nie polska to wina, choć nasza i polska zasługa, że wojsko nasze

stało się symbolem: ostatnim znakiem prawa Europy do stanowienia o swoich losach, o prawa Europy do odrzucenia barbarzyństwa, tyranii i niewoli. Nie nasza to wina, że wojsko polskie samo i jedno wyrwało w wierności przeszłości i przyszłości, historii i przeznaczeniu. Poległych i żywych to zasługa: tych co śpią na zawsze wśród wzgórz Monte Cassino i we wspólnych mogiłach powstańczych Warszawy i tych co żywi nadal odmawiają uderzenia czołem u nóg moskiewskiego cara, ale walkę mu przysięgają i śmierć. Tak się stało, że wśród wszystkich narodów Europy, wśród wszystkich jej armij wojsko polskie, jedyne i ostatnie, stoi skupione wokół sztandarów, które nie schyliły się przed nikim. Stoi skupione wokół sztandarów, co wyzwaniem wieją każdemu, kto pycha i przemocą usiłuje dwadzieścia wieków historii w nicłość obrócić.

## 2. „WYBORY”

WE WSZYSTKICH zajętych przez siebie krajach Sowiety urządzają „wybory.”

Cel tego jest jasny: wybory pod okupacją sowiecką dokonywane są po to, by nadać w oczach demokracji zachodnich panowaniu sowieckiemu pozory legalności. Przy pomocy *bezprawnych* wyborów ma się *uprawomocnić* odebranie wolności wolnym.

Dlaczego udaje się to oczywiste oszustwo?

Wśród zulusów i buszmenów, kiedy chory wzywa pomocy — przychodzi znachor i „zamawia.” Wypowiedzenie magicznych słów ma odpędzić wszelkie zło. Dla wielu cywilizowanych ludzi wyraz „wybory” należy do słów magicznych. Jak wykrzykiwania znachora mają wypędzać chorobę — tak słowo „wybory” ma uleczyć konające narody Europy. Roosevelt i Churchill w Jalcie nie wiele różnili się od afrykańskich znachorów „zamawiając” słowem wybory niewolę. Niczym zaś nie różnią się od nagich buszmenów z kolczykami w nosie ci spośród nas, co wierzą, że gusła wyborów zdolają przywrócić swobodę zakutym w kajdany narodom.

Zaklęcia tańczącego derwisza *napewno* nie zwalczą plagi dżumy. Tak samo *napewno* „wybory” nie usuną z zajętych przez przemoc krajów czerwonej zarazy. Dlatego każdy, kto wskazuje na wybory w podbitych przez Rosję krajach, jako sposób ocalenia

mordowanej ofiary przed nożem mordercy — jest albo oszustem, albo głupcem. Trzecią alternatywą jest być jednocześnie oszustem i głupcem, tzn. oszukiwać samego siebie.

Magia „wyborów” jako sposobu ocalenia mordowanego spod noża mordercy — nie jest w stanie tego uczynić. Przeciwnie — *musi* się zamienić w zatwierdzenie morderstwa. Zrozumiałe jest, czemu Stalin zgodził się w Jalcie na „wybory”: wiedział dobrze, że to słowo jest zaklęciem, którym kapłani z Departamentu Stanu i Foreign Office będą skutecznie usypiać narody Anglii i Ameryki, przekonywać je, iż ofiara chce być zarżnięta.

„Nieprawda!” — powiedzą naiwni. „Przecież w Jalcie Roosevelt i Churchill zastrzegli „wolność” wyborów. Wystarczy tego dopilnować a wszystko będzie dobrze.”

Ci, co tak mówią, zapominają, że wolność wyborów jest tylko jednym z warunków, by w ogóle wybory coś znaczyły. Jest inny warunek, a napewno nie mniej ważny: a mianowicie *skuteczność* wyborów.

Wybory jest to wysoce cywilizowana metoda rozstrzygnięcia sporów wewnętrznych. Aby tą metodą — przy pomocy kartki wyborczej, a nie plutonów egzekucyjnych — można było rozstrzygnąć, kto ma rządzić i jak ma rządzić — potrzeba nie tylko pewności, że wybory nie będą sfalszowane, ale

także trzeba pewności, że ich wynik zostanie uszanowany.

Co byśmy powiedzieli, gdyby po wolnych wyborach na prezydenta Stanów Zjednoczonych ten kandydat, który przegrał, zasiadł w Białym Domu i zaczął rządzić? Powiedzielibyśmy, że to bezprawie. Oczywiście. Ale od takiego bezprawia właśnie zaczyna się historia Rosji sowieckiej: komuniści przegrali jedyne w dziejach rosyjskich wolne wybory do konstytuanty w r. 1917 i wobec tego Lenin zasiadł na stołcu carskim, ci zaś co „wygrali” wybory poszli do cel więziennych. W okupowanych przez Sowiety krajach Europy ta właśnie bolszewicka zasada obowiązuje, choć różne może przybierać kształty. Gdyby nawet wybory w Polsce były wolne, można być pewnym, że „minister” Radkiewicz (albo jakiś jego sobowtór z NKWD) nie zostanie pozbawiony władzy nad policją.

Partia agrariuszy wygrała na Węgrzech. Partia ta — antykomunistyczna — głosiła publicznie przed wyborami, że nie zgodzi się nigdy na żądanie rosyjskie oddania Sowietom tytułu własności nad połową przemysłu węgierskiego. Głosząc to partia agrariuszy napewno oddawała wolę większości Węgrów: żaden naród nie chce, aby go grabiono. Z zewnątrz przyszło poparcie Stanów Zjednoczonych, które zaprestowały przeciw żądaniom sowieckim. A jednak — po wyborach i objęciu rządów — najpierw gabinet, a potem parlament węgierski (w którym agrariusze mają większość) przyjął i ratyfikował żądania sowieckie.

W warunkach stworzonych przez Sowiety wybory są bezskuteczne. Nie decydują ani kto ma rządzić, ani jak ma rządzić.

Dlatego twierdzimy, że wysuwanie hasła wyborów jako metody naprawy stosunków w Europie wschodniej — nie jest zwalczaniem, lecz aprobowaniem zbrodni. Przykład — Stany Zjednoczone domagały się wyborów na Węgrzech; uznały je za „wolne”, ponieważ dały większość antykomunistyczną; większość ta musiała wbrew swojej woli zatwierdzić grabież sowiecką — i Stalin dziś odpowiada na protesty Ameryki, że przecież grabi Węgry, zgodnie z „wolą ludu”, wyrażoną w „wolnych” wyborach...

Premier Attlee określił słusznie demokrację, jako rządy większości, szanującej prawa mniejszości. Wybory są metodą, która tylko w warunkach demokracji może dawać wyniki. Tylko wtedy bowiem można rozstrzygać spo-

ry kartką wyborczą, kiedy wiadomo, że rządy większości będą uznane. Rządy zaś większości tylko wtedy mogą być uznane, kiedy wiadomo, że nie wyzyska ona władzy dla pozbawienia ludzkich praw tych, co myślą inaczej.

Jak roślina może owocować tylko w pewnym klimacie — tak samo wybory, by dawać owoce: pokój i rozwój wewnętrzny, wymagają określonego klimatu. Ten klimat polityczny nazwał Voigt pięknie: „miłością prawa i prawem miłości.” Istotnie — musi przede wszystkim istnieć „prawo miłości,” czyli powszechne uznanie wolności i godności jednostki, aby istnieć mogło prawo. Dlatego wybory mają sens tam tylko, gdzie obowiązuje — pisany albo żywy w zwyczaju — „Bill of Human Rights”.

W „wyzwolonej” spod „jarzma reakcji” Finlandji dnia 26 stycznia br. włączono do konstytucji uzupełnienie, które stanowi, że:

*Każda osoba, która DZIAŁA lub może być POSĄDZONA o działanie na szkodę obrony Państwa lub ku pogorszeniu stosunków z INNYMI PAŃSTWAMI — może zostać przymusowo wysiedlona do wskazanego jej miejsca lub wzięta pod specjalny nadzór, lub osadzona w areszcie ochronnym (protective custody). Od takiego zarządzenia ministra spraw wewnętrznych NIE MA APELACJI.*

W klimacie samowoli, jak w przysłowiowym Meksyku, wybory zamieniają się w operetkę. W klimacie tyranii, jak w państwie Hitlera czy Stalina — wybory muszą być potwornym fałszem. Albowiem wynikiem „wyborów”, dokonanych w zasięgu tyranii może być wyłącznie pozorowanie „aprobaty ludu” dla tyranii. Nic więcej. Cóż może uczynić głoszący albo wybrani, którego można „bez apelacji” zesłać za Koło Polarne?

Hasło przeprowadzenia „wolnych” wyborów w okupowanych przez Sowiety krajach — może być brane na serio tylko przez białych buszmenów, którzy — choć chodzą bez kolczyka w nosie i w wyprasowanych spodniach — niczym nie różnią się od dzikusów podziwiających bez spodni zamawiającego znachora.

Bezprawne wybory w krajach, w których rządzi bezprawie wiodą wyłącznie do usprawiedliwienia bezprawia. Dlatego KAŻDY, kto — z naiwności czy złej woli — powtarza, że wybory są drogą do rozwiązania sytuacji wytworzonej przez najazdy rosyjskie — czynnie popiera bezprawie.

WYBORY nie są w stanie przywrócić Polsce niepodległości.

Naród Polski żąda niepodległości, walczył, walczy i będzie walczyć o nią.

„Wybory” w Polsce nie dopomogą mu w tej walce, lecz ją utrudnią.

Dlatego każdy, kto — w obecnych warunkach — przywiązuje znaczenie do wyborów jako do wyrazu woli Narodu Polskiego — działa na jego szkodę.

Naród wprzód musi być niepodległy, a potem może wybierać. „Wybory” w narodzie, pozbawionym niepodległości, są i być muszą wyrazem zgody na pozbawienie go niepodległości.

Nie ma wyjątku od tej zasady. Nawet w państwie tak wolnym, jak Anglia, udział Irlandczyków w parlamencie brytyjskim był formą uznania zależności Irlandii od Anglii. Nie w wyborach, lecz w walce musiała Irlandia uzyskiwać obecną swą swobodę. Koło Polskie w rosyjskiej Dumie głosowało w r. 1914 za kredytami wojennymi dla Rosji, Koło Polskie w parlamencie austriackim — za kredytami wojennymi dla Austrii. Mickiewicz modlił się, by przyszedł dzień „wojny o wolność ludów”, który Polsce przynieść miał wybawienie. Kiedy nadszedł — „wybrani” przedstawiciele Polaków musieli manifestować swoją zgodę na rozbiór i niewolę, dawać głos upoważniający najęźdźców, by dysponowali krwią i mieniem Polaków. Musieli potwierdzać przed światem zgodę na utratę niepodległości. Gdyby nie Piłsudski, nie Legiony, nie ówczesna Polska podziemna — gdyby nie walka, nie wiadomo, czy z tamtej wojny mogłoby być zmartwychwstać niepodległe Państwo Polskie.

Wybory w warunkach zależności — nie są wyrazem niezależności.

Niekiedy nie sposób im zapobiec. Niekiedy nie ma sensu tego robić. W warunkach sprzed tamtej wojny, kiedy jakaś etykieta wszędzie obowiązywała — można było je nawet wykorzystywać dla lokalnych utarczek o poprawę warunków bytowania. I trzeba było tak czynić. I tak właśnie czyniono. Nikt przecież z Polaków nie twierdził wówczas, że w wyborach — dokonanych w warunkach zależności — Naród Polski wypowiada prawdziwą swą wolę.

Obecnie sytuacja jest odmienna. Wybory, jakie mają być przeprowadzone teraz w Polsce, nie mogą być wykorzystane nawet dla poprawy warunków bytowania. Dlatego po prostu, że Sowieci nie obowiązują powszechna przed r. 1914 etyka. Praworządność nie istnieje tam, gdzie one panują. Toteż

sens zapowiedzianych wyborów w Polsce jest wyłącznie polityczny.

Sensem tych wyborów — nadanym im przez tych, co o nich decydują, tj. przez Sowiety — ma być *zatwierdzenie rozbioru Polski i zatwierdzenie wieczystego uzależnienia Polski od Rosji*. Wybory te mają być powtórzeniem wyborów do sejmu grodzieńskiego. Ma to być *wymuszenie* na Narodzie Polskim pozoru zgody na rozbiór i zabór. Zadnego innego znaczenia obecne wybory w Polsce mieć nie będą. Ściśle zapowiedział tow. Gomółka, że „wybory nic nie zmieniają”. Będą bowiem rozpisane po to tylko, by postawić na aktach złożenia do grobu niepodległego Państwa Polskiego pieczęć, której przybicia odmówił Rząd Rzplitej.

Czy trzeba tego dowodzić? Kto nie chce być ślepym musi to widzieć sam. Przecież w Polsce „koncesjonowano” tylko *te* partie polityczne, które *przyjęły* uchwały jałtańskie. Należenie do stronnictw, które odrzuciły Jałtę, jest *wzbronione*, jest karane: więzieniem, zesłaniem, śmiercią, każdą karą, którą przemoc bezprawnie wymierzy.

W Polsce dziś są koncesjonowane, to znaczy mogą istnieć i działać tylko takie stronnictwa, które przyjęły Jałtę. Kto *przecież* *przyjął* Jałtę — ten przed wyborami, podczas wyborów, czy po wyborach może ją tylko potwierdzić. *Musi* potwierdzać, co w Jałcie postanowiono: 1) rozbiór Polski; 2) pozbawienie Polski niepodległości na skutek mianowania rządu przez obcych i koncesjonowania partyj politycznych; 3) przerwanie na skutek tego ciągłości *bytu państwowego Polski, równoznaczne z przekreśleniem* Jej praw międzynarodowych, w szczególności sojuszu polsko-angielskiego.

Dopuszczając do wyborów tylko takie stronnictwa polskie, które przyjęły Jałtę — Stalin *odebrał* Narodowi Polskiemu możliwość powiedzenia nawet, że naród ten nie godzi się na rozbiór ani na zabór. Czy głosujący rzuci kartkę na Gomółkę, czy na Mikołajczyka — nic to nie zmieni. Dano wyborcy „wybór” między tym, kto Jałtę przyjął, i tym, kto... Jałtę przyjął. Zastawiono sidła: na którekolwiek stronnictwo Polak w podbitej przez Rosję Polsce będzie głosował — będzie „głosował” za Jałtę. Cokolwiek uczyni — będzie zatwierdzał wyrok śmierci na własną Ojczyznę.

Chlubą Narodu Polskiego jest, że kierownictwo *jednego tylko stronnictwa polskiego* akceptowało Jałtę. Hańbą Narodu Polskiego jest, że kierownic-

two *jednego nawet stronnictwa polskiego* aprobowало Jałtę.

Komuniści nie są partią *polską*; są agentami sowieckimi. Ulicznik warszawski nazwał ich najlepiej, kiedy inicjały komunistów: P(olska) P(artia) R(obotnicza) przemalowywał na murach na nazwę: P(łatni) P(acholkowie) R(osji).

PPS odrzuciła Jałtę. Stronnictwo Narodowe odrzuciło Jałtę. Pilsudczycy (największy dziś obóz w Kraju) odrzucili Jałtę. Jałtę zaakceptował tylko Mikołajczyk. Dlatego jest zdrajcą. On właśnie — nie ludzie ze Stronnictwa Ludowego w Kraju, przez niego zaprzędani, a działający dzisiaj pod grozą zastrzelenia przez milicjantów Radkiewicza. On właśnie jest zdrajcą, albowiem miał wolny wybór. Dlatego nazwisko jego w dziejach Polski znajdzie się obok nazwisk targowiczian.

Toteż jest rzeczą pozbawioną wszelkiego znaczenia, czy Mikołajczyk wejdzie do bloku stronnictw jałtańskich, czy pójdzie do wyborów jako odrębne stronnictwo... jałtańskie. Jest rzeczą obojętną, jaki będzie podział mandatów między Mikołajczykiem, Gomółką i Osubką. Jest nawet rzeczą całkowicie obojętną, czy będą w Polsce obserwatorzy amerykańscy podczas wyborów, czy ich nie będzie. Albowiem główny reżyser, Stalin, rozdał już role: czy pierwszym tenorem będzie ten, czy

tamten spośród zaangażowanych aktorów — każdy z nich będzie śpiewał, co napisano w sztuce „Uznanie Jałty.”

Każdy więc, kto wmawia opinię, iż w obecnych warunkach „wybory” w Polsce coś znaczą — jest albo oszustem, albo głupcem. Dlatego każda „godziemba” usiłująca przekonać Polonię, że Mikołajczyk walczy o Polskę — oszukuje siebie albo innych. „Polityk”, który połowę Polski oddał za połowę tek w gabinecie Osubki, teraz o teki się użera — nie o Polskę.

„Wyborom” w Polsce powalonej i podległej nie możemy zapobiec. Ale *nie wolno* nam nie rozumieć ich znaczenia. Tym bardziej nie wolno godzić się na tę inscenizację kapitulacji Narodu Polskiego, którą mają być i będą wybory. Trzeba nazwać je po imieniu: *jedną* więcej zbrodnią — zanim się staną.

Wybory, których nie przeprowadzi konstytucyjny Rząd R.P. wedle praw polskich na wolnej od obcych ziemi polskiej — są NIEWAŻNE I NIE-BYŁE!

Za takie uważa je Polska Podziemna, która istnieje nadal i która jest dzisiaj całym Polskim Narodem. Za takie muszą je uważać wszyscy ludzie uczciwi, jeśli choć chwilę nad dolą Narodu Polskiego pomyślą.

Najprzód niepodległość Polski. Potem wybory w Polsce.

### 3. R E N

Jest rzeczą prawdopodobną, iż odbudowa państwa niemieckiego rozstrzygnie się na zagadnieniu granicy francusko-niemieckiej. Gdyby granicą tą został, jak pragnął Foch, Ren — odbudowanie potężnych Niemiec byłoby wątpliwe. Gdyby natomiast postanowiono *pozostawić* Nadrenię w obrębie Rzeszy — odbudowanie Niemiec jako potęgi politycznej i wojskowej wydaje się prawdopodobne. Łatwo odgadnąć, co znaczyłoby to dla przyszłości Polski: oznaczałoby to, że w przyszłym konflikcie, znów kosztem Polski, czyniono by zapewne *appeasement* w stosunku do Niemiec, podobnie jak w czasie wojny czyniono kosztem Polski *appeasement* w stosunku do Rosji. Mowa Churchill'a w Fulton dała nam przedsmak tej potwornej możliwości.

Należy więc pilnie śledzić namysły i zmagania, jakie mają obecnie miejsce w sprawie Renu. Obserwować je trudno, gdyż rozmowy toczą się w zaciszu gabinetów uchodząc niemal uwagi opi-

nii. Spróbujemy jednak — wedle możliwości — zarysować zamiary stron, *biorących* udział w tej dyskretnej grze: Stanów Zjednoczonych, Anglii, Rosji, Francji.

Na czym polega istota sprawy dla Anglii i Ameryki? Zdaniem naszym, pobierając decyzje takiego lub innego przeprowadzenia granicy francusko-niemieckiej — pobiera się jednocześnie decyzję, *kogo się pragnie mieć jako partnera i sprzymierzeńca w przyszłości: Francję czy Niemcy?*

Wszystko jedno, czy politycy angielscy i amerykańscy zdają sobie z tego sprawę, czy też kierują się emocjami, wynikłymi z podświadomie przeprowadzonego wyboru. O to chodzi właśnie — o *wybór*. Postawa Anglii i Ameryki wobec zagadnienia granicy francusko-niemieckiej *przesądzi*, czy w przyszłym konflikcie z Sowietami Anglia i Ameryka szukać będzie współdziałania Niemiec po swojej stronie, czy też na to liczyć nie będzie. Ci, którzy są przeciw

linii Renu, jako nowej granicy Francji z Niemcami — ci są za odbudowaniem potężnych Niemiec, nawet jeśli się sami sobie do tego nie przyznają.

Stanowisko rządu Stanów Zjednoczonych — o ile sądzić wolno z dotychczasowych wiadomości — chociaż w sprawie tak *pierwszorzędnej* wagi, wynika, zdaje się, z całkowicie drugorzędnych motywów. Można je streścić w sposób następujący: nie mamy zamiaru trzymać wojska w Niemczech, chcemy go mieć tam jak najmniej i jak najkrócej; wobec tego należy jak najszybciej zastąpić administrację wojskową amerykańską — administracją niemiecką; do tego potrzeba centralnych organów — należy więc stworzyć kontrolowany tymczasem „rząd” niemiecki, który by objął administrację na całym terenie Rzeszy z Nadrenią włącznie; o granicach porozmawiamy później.

To stanowisko amerykańskie — uchylające się od zapewnienia Francji dostępu do Renu — jest, mimowolnie albo świadomie, pierwszym krokiem w kierunku odbudowania politycznego i militarnego Rzeszy.

Stanowisko brytyjskie, zdaje się, jest bardziej świadome i bardziej skomplikowane. Odnosi się wrażenie, jak gdyby w gabinecie brytyjskim prowadzono w tej chwili jeszcze badania, czy należy na przyszłego sojusznika wybrać Francję, czy Niemcy, czy wreszcie stworzyć układ obejmujący i Francję, i Niemcy? Toteż polityka brytyjska nie okazywała zniecierpliwienia, jakiemu niejednokrotnie dawali wyraz generalowie i dyplomaci amerykańscy w stosunku do żądań francuskich. Niewątpliwie ewentualność odbudowy Nie-

miec, jako *ewentualnego* sojusznika jest brana pod uwagę przez Londyn. Zarazem, zdaje się, istnieje tam świadomość, że nie można wszystkiego stawiać na tę kartę. Nie ma wreszcie pewności, czy Washington zdecyduje się dać pomoc konieczną dla dźwignięcia Francji — ani pewności, co będzie za to żądał. Z tych względów polityka angielska jest w stadium badań, nie decyzji. Trzy wytyczne, zdaje się, nią obecnie kierują: 1) chęć niezrażenia sobie żadnej ze stron; 2) obawa przed rozciągnięciem wpływów sowieckich nad Ren i za Ren; 3) tendencja utrzymania współkontroli brytyjskiej nad produkcją Ruhry. Być może, że zapoczątkowane rokowania o sojusz franko-brytyjski doprowadzą do wyjaśnienia stanowiska Anglii w sprawie granicy zachodniej Niemiec. Obawiamy się jednak, że to jeszcze nie nastąpi.

Obawiamy się, że to nie nastąpi dlatego przede wszystkim, iż *Francja*, zdaje się, nie ma jasnego programu własnych rewindykacji terytorialnych. Póki był de Gaulle — wiadomo było, że granica na Renie jest minimalnym żądaniem francuskim. Od chwili odejścia de Gaulle'a istnieje równocześnie *kilka* polityk zagranicznych Francji: polityka ministra Bidault, polityka komunistów, polityka socjalistów. Tam gdzie jest kilka polityk — tam nie ma żadnej. Nic jest więc rzeczą wyłączoną, że Ren może być sprzedany przez samych Francuzów za miskę soczewicy. „Soczewicą” mogą się okazać równie dobrze kredyty amerykańskie, jak obietnice albo groźby sowieckie, jak perswazyje brytyjskie.

Wreszcie — jest Rosja. Rosja, której

nie obchodzi ani bezpieczeństwo Francji, ani trwałość pokoju, lecz jedynie i *wyłącznie*: rozpostarcie wpływów sowieckich jak najdalej na zachód, nadanie „orientacji wschodniej” zarówno Niemcom, jak i Francji.

Rosja nie myśli o traktatach pokojowych i ostatecznych granicach, gdyż szykuje się, jak głośno mówi, do ostatecznej rozprawy ze światem zachodnim w ciągu lat 15. Dlatego Rosję wszelkie granice obchodzą tyle tylko, o ile są „granicami” jej wpływów. Stąd stanowisko rosyjskie, zmierzające do odsunięcia momentu zawarcia „traktatów” pokojowych. W okresie prowizorium Sowiety będą usilować — już usiłują — stworzyć w Niemczech ustrój prorosyjski, wciągnąć Rzeszę w swoją orbitę. Dążenie Sowietałów do powołania w Berlinie centralnego rządu dla Rzeszy — zgodne niestety ze stanowiskiem amerykańskim — wynika z przekonania, że przez komunistycznych urzędników niemieckich wpływy rosyjskie będą mogły sięgnąć za Ren, podminować okupację brytyjską i amerykańską.

Uważamy okres obecny za „armistice” znacznie krótszy niż „armistice”, jakim był pokój wersalski. Toteż nie uważamy „granic” rysowanych obecnie za trwałe, pokojowe granice: oznaczają one raczej pozycje wyjściowe przyszłego konfliktu, którego się nie da uniknąć. Są to okopy, fortyfikacje, ale nie granice. W tych warunkach linia Renu ma znaczenie raczej symboliczne.

Nie należy jednak lekceważyć tego symbolu. Przyglądając się bowiem polityce mocarstw w sprawie granicy francuskiej na Renie można odczytać wiele ukrytych zamiarów na przyszłość.

Ignacy Matuszewski

## PUŁKOWNIK WALERY SŁAWEK

— W ROCZNICĘ ZGONU —

*Poniższe wspomnienie b. wicemarszałka sejmu por. B. Podoskiego, przeznaczone do zeszytu kwietniowego „Na straży”, doszło nas dopiero teraz z Rzymu. Stąd — opóźnienie. Redakcja*

z kwietnia 1939 r. w godzinę zgonu Józefa Piłsudskiego płk Walery Sławek postanowił opuścić świat i Polskę, którą ukochał nad życie.

Ze starego brauninga, którym w fozkwiecie swoich najpiękniejszych lat męskich walczył o Niepodległość Ojczyzny, śmierć sobie zadał.

Działo się to w Niedzielę Palmową, u progu radosnych świąt Zmartwychwstania, w przepiękne dni polskiego przedwiośnia.

Przyroda, polska przyroda budziła się wówczas do życia czarując oczy ludzkie świeżością zieleni i subtelną prostotą pierwszego kwiecica, zasianego niewidzialną ręką Stwórcy Wszechrzeczy.

Niezwykłe było życie i niezwykła była śmierć płka Walerego Sławka.

Umierał dobrowolnie w przekonaniu, że śmiercią swoją służy Polsce tak, jak Jej służył bez mała całe

swoje życie, przedziwnie świetlane i przedziwnie pozabawione własnych, egoistycznych zainteresowań.

Ostatnią myśl swoją w liście pożegnalnym skierował ku Bogu w słowach wzruszających a prostych prosząc Go o wybaczenie grzechu samobójstwa.

Nad otwartą mogiłą płka Walerego Sławka nie padło ani jedno słowo zbędne.

Zegnały Go tłumy milczeniem, wymowniejszym od najwyszukańszych mów pogrzebowych.

Ciszę, która zaległa cmentarz przez chwilę tylko zmąciło krótkie, a pełne treści wezwanie kapłana, który ostatnią oddawał Mu posługę:

„Za duszę śp. Marszałka Józefa Piłsudskiego i Jego wiernego Przyjaciela śp. płka Walerego Sławka zmówcie trzykrotnie wieczny odpoczynek”.

Po raz pierwszy i zapewne ostatni w życiu zapla-kałem wtedy publicznie.

I łez tych po dziś dzień się nie wstydzę.

\* \* \*

Płk Walery Sławek był przyjacielem Józefa Piłsudskiego, najbliższym i najwierniejszym.

A także najściślej wykonawcą Jego woli.

Bo płk Walery Sławek ufał bezgranicznie Józefowi Piłsudskiemu.

I całe życie biegło Im razem w służbie dla wspólnej Sprawy.

Ale nawet Józef Piłsudski miał swoje życie własne, którym żył w krótkich chwilach wytnienia, i wzruszająco kochał swe córki i „miłe miasto Wilno”.

Osobiste życie płka Walerego Sławka skończyło się w dniu, w którym bomba przedwcześnie wybuchająca w Jego rękach nieomal nie położyła kresu Jego życiu w lasku pod Milanówkiem.

Ktoś komuś doniósł przedwcześnie o Jego zgonie.

Zgasło przedwcześnie czyjeś inne życie, a z nim zamarło na zawsze osobiste życie płka Walerego Sławka.

\* \* \*

Młodość i najpiękniejsze lata męskie upłynęły płkowi Waleremu Sławkowi w podziemiach — w uporczywej, nieustępliwej, czynnej walce z zaborcami o Niepodległość.

Podziemia wysunęły Go na czołowe stanowiska — podziemia ukształtowały Jego charakter, podziemia nauczyły cenić nade wszystko czyn i lekceważyć najlepiej nawet zbudowany frazes.

Więziony, ścigany, ciężko ranny trwał nieustannie na posterunku i byłby co najmniej zdziwiony, gdyby ktoś poczytał Mu to za zasługę.

Bo płk Walery Sławek wierzył głęboko, że Naród Polski tylko własnym czynem zbrojnym może odzyskać utraconą wolność i u nikogo obcego tej wolności wyprosić nie zdoła.

Ostatnie 20 lat swego życia służył czynnie odrodzonemu Państwu Polskiemu z uczuciem syna, który krwią swoją przywrócił życie Matce.

\* \* \*

Płk Walery Sławek urodził się na ziemi ukraińskiej w okolicach Humania i miał w sobie wrodzoną dostojność i wrodzoną szlachetność rycerzy kresowych.

Brzydził się kłamstwem i kochał prostotę.

Był urodzonym wychowawcą Narodu.

Politykę rozumiał jako sztukę uszlachetniania ludzi.

Szanował przekonania cudze i nigdy nie narzucał swego zdania.

Powagę swoją budował wyłącznie na pierwiastkach moralnych lekceważąc aż przesadnie więzy organizacyjne, które zespalają masy z ich przywódcami.

Pozostawił po sobie wiele pisanych przemówień, pełnych nie tylko głębokich i rozumnych myśli, ale także pięknych co do formy, chociaż nie miał łatwości pióra i wysławiał się z trudnością.

Bo był nie tylko wytrwałym, upartym i pracowitym, ale także miał w sobie wiele z ducha polskich wieszczów.

Brzydził się kompromisem interesownym.

Zdawał sobie sprawę z istnienia sprzeczności interesów grup społecznych i dążył konsekwentnie do rzetelnego uzgadniania tych sprzeczności w imię dobra wyższego rzędu wyczuwając intuicyjnie a trafnie, które z rozlicznych rozwiązań jest najsprawiedliwsze.

Był urodzonym mediatorem. Przez czystość intencji, ujmujące podejście do człowieka i niezłomny charakter.

Twardy, nieustępliwy, gdy chodzi o stosowanie zasad, które wyznawał, potrafił być wyrozumiałym dla ludzi działających wbrew Jego woli z pobudek szlachetnych.

Rozumiał, że niełatwo jest ludzi nagiąć do swojej woli.

„Widzi pan” — mawiał mi nieraz — „każdy człowiek ma swoją własną logikę i dlatego tak trudno jest zwykle dogadać się ludziom ze sobą”.

Był nawskróś indywidualistą. I na tym indywidualizmie chciał budować przyszłość Polski.

Przepis konstytucji kwietniowej: „Twórczość jednostki jest dźwignią życia zbiorowego”, który w jego redakcji został wpisany do niej, odzwierciedla może najlepiej przewodnią myśl ustrojową płka Walerego Sławka.

„Naród Polski” — powiedział mi kiedyś — „wydawał nieomal w każdym pokoleniu jednostki ponad wszelką miarę ofiarne, których mogłyby nam pozazdrościć inne narody. Ale jednocześnie za wiele było i

jest w naszym narodzie jednostek biernych, obojętnych na sprawy publiczne”.

To go dręczyło, nieraz zastanawiał się nad metodą wychowawczą, która by pozwoliła zasypać tę przepaść pomiędzy garstką ofiarnych a masą obojętnych.

Był szczerym demokratą, z ducha i czynów. Demokrację rozumiał jako podnoszenie warstw dolnych ku górze. Wierzył, że tylko tą drogą ulepszy się duszę Narodu Polskiego i wychowa liczniejsze pokolenia ofiarnych.

Miał wrodzone wycucie misji naszego narodu. Był szczerym wyznawcą idei federacyjnej. Do narodu ukraińskiego żywił uczucia braterskie.

Spytałem kiedys płka Sławka, co sądzi o polityce wojewody wołyńskiego w stosunku do Ukraińców, która budziła duże zastrzeżenia w społeczeństwie polskim.

„Widzi pan” — — odpowiedział Pułkownik, nie wchodząc w szczegóły — „nasza polityka w stosunku do Ukraińców powinna być prowadzona z myślą, że kiedyś właściwa Ukraina wyzwoli się jako państwo niezależne. I do tego powinniśmy już dzisiaj dostosować linię naszego postępowania w stosunku do tego narodu”.

Walcząc wiele lat z narzuconym prawem obcym miał niezwykle głęboki kult dla prawa własnego, wyrosłego z tradycji i potrzeb Narodu Polskiego.

I dlatego darzył wzruszającą przyjaźnią tych, którzy dopomogli Mu ukształtować i wprowadzić w życie nowe polskie prawo konstytucyjne, oparte na ideowych założeniach konstytucji majowej, tworzone w przewidywaniu, że Polska nie uniknie narzuconej jej wojny.

Zgon płka Walerego Sławka nastąpił 3 kwietnia 1939 roku o świcie. Skonał po operacji, która była beznadziejną próbą ratowania Jego życia. W dniu tym zmarł nie tylko trzykrotny premier rządu Rzeczypospolitej, marszałek sejmu, ochrzczonego Jego imieniem, kawaler orderu białego orła, wirtuti militari i krzyża niepodległości z mieczami. Zmarł nie tylko współtwórca konstytucji kwietniowej, inicjator przepisu o następcy Prezydenta Rzeczypospolitej w czasie wojny, który zapewnił Polsce ciągłość władzy legalnej.

W dniu tym odeszła ze świata jedna z najszlachetniejszych postaci w dziejach Polski, odszedł człowiek, którego w ofiarności dla Sprawy nikt prześcignąć nie zdołał.

\* \* \*

Na miejscu wiecznego spoczynku płka Walerego Sławka stanął na razie tylko prosty, drewniany krzyż. Pod krzyżem tym aż do wybuchu wojny czyjeś ręce kładły stale wiązanki świeżego kwiecia. I były to ręce nie tylko Jego przyjaciół i znajomych, ale także ludzi prostych, nikomu nie znanych, którzy stale a gorliwie nawiedzali grób płka Walerego Sławka.

Jestem pewny, że ta forma uczczenia pamięci była najmiłsza Jego duchowi, bo harmonizowała całkowicie z Jego naturą, subtelną i skromną nade wszystko.

Dziś jednak, gdy miejsce wiecznego spoczynku płka Walerego Sławka znalazło się w zasięgu władzy zaborcy, z którym tyle lat walczył, mogę Mu poświęcić jedynie wspomnienie, zamiast kwiatów składanych na mogile.

*Bohdan Podolski*

## PRAWDA MONTE CASSINO

Książka Wańkowicza o Monte Cassino\*) wywołać musi w każdym Polaku głęboki wstrząs wewnętrzny. Czytana zwłaszcza dzisiaj, w drugą rocznicę tej współczesnej Somosiery — musi napoić każde serce polskie goryczą ponad miarę, że ci zdobywcy Góry Klasztornej, zamiast triumfalnego powrotu do niepodległej Polski, zasłużyli sobie jedynie na łaskę pracy w batalionach roboczych dla odbudowy Anglii.

Właściwie, należało by się wstrzymać z pisaniem o tej książce aż do chwili ukazania się zapowiadzianego drugiego i trzeciego tomu. Dopiero bowiem na pod-

\*) Melchior Wańkowicz: „Bitwa o Monte Cassino“, tom I. Wyd. Oddz. Kultury i Prasy Drugiego Polskiego Korpusu. Rzym — Medjolan 1945.

stawie całości moglibyśmy bezstronnie ocenić prawdę Monte Cassino, które posiada dla współczesnego pokolenia dwa uzupełniające się aspekty: militarny i polityczny. Pisząc tylko o tomie pierwszym książki Wańkowicza — narażeni jesteśmy na popełnienie szeregu błędów w ocenie prawdy Monte Cassina. Tym bardziej że jest jeszcze trzeci aspekt tej prawdy, dla nas narażenie nie istniejący — mianowicie aspekt historyczny.

Pierwszy tom nie daje nam jeszcze odpowiedzi na pytanie, który z tych aspektów miał na oku Wańkowicz, jakie jest podstawowe założenie jego pracy, jakie intencje przyswiecały mu, gdy podjął się tego wielkiego zadania. Postarajmy się jednak na podstawie tego, co jest zawarte w tym pierwszym tomie, wyłuskać to,



co jest najistotniejsze.

Dla ułatwienia sobie zadania, jak również dla większej przejrzystości — podzielił od razu całe zagadnienie na dwa zasadnicze działy. Pierwszy dział — to omówienie samej książki, tzn. pracy pisarza, jego stosunku do opisywanej bitwy, strony graficznej książki itp. Dział drugi — to zagadnienie samej bitwy, jej znaczenia militarnego i politycznego, to zagadnienie pracy i wysiłku zbiorowego Korpusu, zagadnienie słuszności pobieranych przez dowództwo decyzji, odpowiedzialności przed narodem i historją, bohaterstwa żołnierza, wyzyskania politycznego zwycięstwa itp. Może nie na wszystkie te pytania zdołamy odpowiedzieć, ponieważ na wiele z nich dopiero historia może dać istotną odpowiedź, mająca do dyspozycji perspektywę czasu, której nam brak — ale niemniej pewne rzeczy są już dzisiaj jasne i oczywiste.

Zacznijmy od pisarza i jego stosunku do swego dzieła. I tu od razu podkreślmy, że talent pisarski, niebawale zaostrozony zmysł obserwacyjny i pracowitość niemal benedyktyńska Wańkowicza, predystynowały go, jak nikogo innego, na autora dzieła o zdobyciu przez Polaków tego właśnie benedyktyńskiego opactwa. I to bez względu na to, czy zamierzone dzieło miało być tylko wojennym reportażem, w których Wańkowicz jako pilny obserwator celuje, czy też dokumentarnym opisem bitwy — czemu by podobała pracowita sumienność autora „Na tropach Smętka”. Talent pisarski, prostota i lapidarność doskonale, na duchu języka opartej polszczyzny — były gwarancją tego, że zarówno reportaż, jak i książka-dokument nie będą stały w jaskrawej sprzeczności, co do poziomu i tonu, z dokonywującym się dramatem bitwy o Monte Cassino. I pod tym względem Wańkowicz nie zawiodł pokładanych w nim nadziei.

Książka jest napisana doskonale, chociaż rzuca się w oczy (przynajmniej sądzić tak można na podstawie tomu pierwszego<sup>1</sup>), że pierwotny zamiar autora napisania subiektywnego reportażu o bitwie zmienia się wkrótce pod wpływem opisywanych wydarzeń — w dokumentarny dziennik bitwy, posiadający wartość obiektywnego dokumentu historycznego, pierwszorzędnej wartości zarówno dla przyszłych historyków, jak i dla wojskowych.

Pierwsze rozdziały książki wskazują na to, że Wańkowicz traktuje swoje zadanie raczej sportowo. Już sam tytuł pierwszego rozdziału: „Wchodząc na ring pozdrawiamy poprzedników” — mówi o tym sportowym podejściu do tematu. W rozdziale tym Wańkowicz robi piękny dyg w stronę Amerykanów, Francuzów, Hindusów, Nowozelandczyków i Anglików, słowem w stronę tych wszystkich, co nacierali na klasztor, skrwawili się, nie dali rady i — musieli odstąpić.

Wańkowicz opisuje swoje wizyty w sztabach tych alianckich oddziałów, podaje swoje rozmowy z uczestnikami tych nieudanych walk o Monte Cassino. Robi to na wesoło, dowcipkuje, uśmiecha się.. Ten dowcip i uśmiech nie opuszczają go, gdy wjeżdża na teren rozlokowania 2 Korpusu, na pozycje polskie szykujące się do decydującej bitwy.

Z pasją rasowego reportera chwytą Wańkowicz na gorąco moc szczegółów, drobiazgów, podpatrzonych i podsłuchanych scenek z życia naszego żołnierza. Próbuje nawet — na podstawie tego wszystkiego — wyciągnąć pewne syntetyczne wnioski, które niewątpliwie odpowiadają upodobaniom i charakterowi tego urodzonego Sarmaty, do czego się jednak niechętnie przyznaje. Oto, między innymi, jak ujmuje różnice dzielące nas i Anglików: „Całkiem inne mamy podejście do wojny: my — bohaterskie, oni — biznesowe; my z pospolitego ruszenia, oni — z Kompanji Indyj Zachodnich, która fundowała prywatne wojsko”. I dalej: „Nie ma tu co chwalić jednych lub drugich. Każdy rósł tak, jak mu pozwalały dzieje. Gdybyśmy nie mieli nierozważnych i niekalkulowanych zrywów — nie istnielibyśmy. Dla nas długi sznur Starzyńskich w naszych dziejach nie jest lekkomyślnymi ryzykantami, ale bohaterami i świętymi narodowymi. Możemy pozazdrościć Anglikom, że ich nie potrzebują, możemy im pozazdrościć, że mogą sobie pozwolić na luksusy poddawania 25-tysięcznego Singapore, gdy my do ostatka bronimy jednym batalionem Helu, albo 25-tysięcznego Tobruku, gdy u nas do końca stukilkudziesięciu żołnierzy broni Westerplatte. Ale póki jesteśmy, będziemy jacy jesteśmy.”... „A z tego wszystkiego jako polska lekkomyślna synteza wojny: Siadę na konika, podkręcę wąsika, dobędę pałasza: wiwat Polska nasza!” (str. 140-141).

Z tą właśnie, może podświadomą lekkomyślnością i takimże lekkomyślnym stosunkiem do wojny, z tą kawaleryjską dezynwolturą wchodzi Wańkowicz między naszych żołnierzy, ogląda rysujący się na wysokiej Górze Klasztornej masyw zrujnowanego już przez amerykańskie bombardowanie lotnicze opactwa, prowadzi liczne rozmowy z dowódcami i prostymi szeregowymi — tymi ludźmi „z Hajnówki, ludźmi z puszczy Rudnickiej i Hłuboczyckiej” — rozgląda się ciekawie wokoło i plasuje się niby w teatrze, w oczekiwaniu na wspaniałe widowisko. Język jego pieni się jak wzburzony potok, jest zadzierzysty, jędrny, zwarty, prosty, pełen swady i fantazji, lyskający rakietami humoru, przeważnie wisielczego.

Ale już bardzo prędko zaczyna się dokonywać w Wańkowiczu zasadnicza zmiana. Jego stosunek do wojny zmienia się widocznie, gdy patrzy na mozolną i skomplikowaną pracę kwatermistrzostwa, na te ty-

siące ton amunicji i sprzętu windowanego nocami na zbocza skaliste, na te miliony puszek konserw, koców, baniek z wodą. „Stoimy” — pisze Wańkowicz — „przed atakiem na ten piekielny amfiteatr. Doceniamy wagę zadania. I zanim jutro padną strzały i rozpocznie się bitwa krwawa, dziś kończymy bitwę bezkrwawą — przygotowania kwatermistrzowskiego do bitwy o Monte Cassino” (str. 143).

Wańkowicz b. szczegółowo opisuje przygotowania do bitwy i to na wszystkich odcinkach i we wszystkich broniach. Ale w miarę, jak opisuje to, co wykół siebie widzi, widocznie poważnieje i zasepia się. „Kawiarniane prognozyki” — pisze — „liczą się z tym, że bitwa nas będzie kosztować 2,500 zabitych i 2,500 rannych. Czy tylko kawiarniane? Na jednej z odpraw w Karpackiej, kiedy dowódca artylerji płk Łakiński wyraził opinię, że klasztor musi być za wszelką cenę zdobyty w ciągu 24 godzin, gen. Anders odpowiedział ze zwykłym swoim spokojnym uśmiechem. — Powoli, powoli... Być może, musimy być przygotowani na trzy razy po 24 godziny, a jak tego nie starczy, to i siedem razy po dwadzieścia cztery...” (str. 207-208).

I wreszcie rozpoczyna się o godz. 23—11 maja — długo przygotowywane i długo oczekiwane przez żołnierzy naszych — pierwsze natarcie Karpackiej i Kresowej na Monte Cassino. Po nawale artyleryjskiej trwającej 40 minut rusza do ataku piechota wdzierając się na karkołomne grzbiety skalne. To pierwsze natarcie prowadzone pod morderczym ogniem niemieckim zamienia się powoli w dosłowną rzeź, w krwawą jatki naszych kompanji i baonów na Widmie i 593. To pierwsze natarcie, zakończone klęską, odwrotem, setkami zabitych i rannych — wypełnia cały pierwszy tom książki Wańkowicza, kończący się opatrywaniem ran po klęsce i przygotowywaniem się do... drugiego natarcia! Jest to dzień 13 maja...

I tu zaczynając od początku ataku aż do jego nieśczęśliwego zakończenia — książka Wańkowicza zmienia wyraźnie swój początkowy charakter powierchownego nieco reportażu wojennego i staje się drobiazgową kroniką bitwy o znaczeniu dokumentu historycznego, o nie podlegającej dyskusji prawdziwości. Język autora sztywnieje, staje się suchy, prosty, unika głośniejszych akcentów, upodabnia się do sanitariusza zbierając pod obstrzałem z pola walki najdrobniejsze szczątki prawdy historycznej o biorących w walce ludziach, potyczkach, patrolach i przebiegu samej walki. Wańkowicz robi to bardzo sumiennie i pracowicie. Z mozaiki drobnych szczegółów i szczegółików wyrasta wielki, plastyczny obraz całej bitwy, nieludzkiego bohaterstwa polskiego żołnierza, skondensowanej w monolit woli zwycięstwa i zbiorowego wysiłku całego bez wyjątku 2 Korpusu, potwornej siły i nad-

mocy wroga, któremu sprzyja przyroda, a nade wszystko krwawej rzezi, na jaką idą bez żadnego wahania nasi niešťczęśni chłopcy, wierzący, że torują sobie drogę do Polski, a narodowi swemu niosą w darze wolność i całość ziem Rzeczypospolitej...

Z tym nieokreślonym, a raczej z tym podwójnym charakterem książki Wańkowicza o bitwie Monte Cassino, książki, która — jak widzimy — z reportażu wojennego chwytanego na gorąco przeistacza się w monumentalną książkę historyczną, wiąże się również zagadnienie jej szaty zewnętrznej, opracowania graficznego i ilustracji.

Niewątpliwie książka jesz wydana luksusowo, jak na nasze obecne warunki wojenne. Niewątpliwie zarówno papier, jak i materiał ilustracyjny jest bogaty. Niewątpliwie p.S. Gliwa, który opracowywał graficznie książkę jest nader uzdolnionym fotoreporterem i rysownikiem choć trudno mu wybaczyć okładkę zewnętrzną z makami, tanią i brzydką. Niewątpliwie dobre są i pomysłowe fotomontaże Z. i L. Haar. Ale w założeniu samym rozwiązanie graficzne książki Wańkowicza jest mylne.

Jest to rozwiązanie dobre dla magazynu zawierającego zbiór reportaży wojennych czy też dla pisma ilustrowanego żyjącego dniem dzisiejszym. Ale to nie jest w żadnym wypadku rozwiązanie stosowne dla książki monumentalnej, której charakter, powagę, użyteczność wreszcie wykreśliła wiekami tradycja i zasada konserwatorska. Są pewne ustalone wiekami formy, które można czasem łamać, ale trzeba je zastąpić lepszymi i celowszymi. W najbardziej demokratycznym kraju, jakim jest Anglja — istnieją jednak surowe normy etykiety dworskiej w pałacu Buckingham. Książka Wańkowicza sprawia zewnętrznie takie wrażenie, jakby ktoś w ubraniu sportowym udał się na wieczorne przyjęcie do króla...

Każdy Polak — po przeczytaniu w chwili obecnej I tomu „Bitwy o Monte Cassino” Wańkowicza — musi odłożyć tę książkę ze ściśniętym sercem i z zaciśniętymi pięściami, chociaż wie on, że ostatecznym rezultatem tej bitwy, której początek opisuje Wańkowicz — było pełne i wiekopomne zwycięstwo oręża polskiego. Ale drobiazgowy opis nadludzkiego wysiłku, poniesionych w tej zbiorowej masakrze strat ludzkich, upustu najcenniejszej dla nas młodej krwi, w zestawieniu z zamierzonym rozbajaniem i wcielaniem do batalionów roboczych bohaterów Monte Cassina — wydaje się szyderstwem z najświętszych ideałów, o które walczyliśmy przez lat sześć w Kraju i na emigracji. Pod wpływem tych myśli rodzi się w każdym z nas szereg refleksji, wątpliwości i wskazań na przyszłość.

Wańkowicz podaje (str. 131), że dnia 21 marca

1944 dowódca 8 Armji gen. Leese powiadomił dowódcę Korpusu gen. Andersa, iż „na konferencji, która odbyła się u dowódcy frontu w sprawie ofensywy wiosennej, zapadła decyzja powierzenia Korpusowi Polskiemu zdobycia masywu i klasztoru Monte Cassino”. „Po długiej ciszy gen. Leese rzucił pytanie — *Chyba pan general nie chce, to wówczas będę musiał znaleźć inny korpus, który to zadanie wykona. Zechce pan general zastanowić się i po dziesięciu minutach dać mi odpowiedź.* „General Anders” — pisze dalej Wańkowicz — „udał się do oddzielnego pokoju wraz z szefem sztabu płkiem Wiśniowskim, gdzie zrobił krótki obrachunek: Korpus tak i owak jest na pozycjach, tak i owak będzie się wykruszał. Będzie to się odbywać niepostrzeżenie przy ciągłym akompaniamencie zarzutów Moskwy, że faszystowskie wojsko polskie nie chce bić się z Niemcami. Cassino nie schodziło z łamów całego świata.

— *Korpus to zadanie podejmie* — odpowiedział”.

Nie ulega wątpliwości już dzisiaj, na podstawie tego co wiemy, że podłoże bitwy o Monte Cassino dla naszych Aliantów było czysto militarne, wówczas gdy dla nas, Polaków, podłoże to było wybitnie polityczne. Alianci potrzebowali otwarcia drogi do Rzymu, myśmy — przynajmniej w pojęciu żołnierzy z Korpusu — otwierali drogę do wolnej Polski. Co do tego nie ma wątpliwości. Według Wańkowicza, gen. Leese, dowódca 8 armii w rozkazie przed bitwą pisze: „Zwracamy się specjalnie do Polskiego Korpusu, *który walczy obecnie wspólnie z nami, dla odzyskania Ojczyzny*”. W takimże rozkazie przedbitewnym Dowódca Korpusu mówił do żołnierzy: „Żołnierze! — za bandycką napaść Niemców na Polskę, za rozbiór Polski wraz z bolszewikami, za tysiące zrujnowanych miast i wsi, za morderstwa, katowanie setek tysięcy naszych siostr i braci, za miliony wywiezionych Polaków jako niewolników do Niemiec, za niedolę i nieszczęście Kraju, za nasze cierpienia i tułaczkę...” „Nie udało się tej twierdzy zdobyć wielu naszym sprzymierzeńcom. Nas na to nie stać” — mówił twardo w rozkazie dowódca Karpackiej. „Tej godziny długo oczekiwaliśmy. Do broni!” — zagrzewał w rozkazie dowódca Kresowej.

Fakt, że od dowódcy Korpusu aż do ostatniego szeregowca wszyscy żołnierze idący do boju o zdobycie Monte Cassino wierzyli niezłomnie, że od zwycięstwa ich zależy los Polski, całość jej granic, wolność jej i niepodległość — nadaje tej bitwie specjalne znaczenie polityczne dla Polaków. Żołnierz wierzył, że zdobywając najeżoną bunkrami niemieckimi Górę Klasztorną — zdobywa wolność dla Polski. Wierzył w to nie tylko żołnierz. Wierzył w to cały jęczący pod okupantem Kraj, wierzyli w to wszyscy Polacy po

świecie rozsiani. Trzeba sobie bowiem uprzytomnić, że bitwa o Monte Cassino odbywa się w trzy miesiące po lutowej mowie Churchilla, w której „w nagrodę za czteroletnią polską lojalność, za czteroletnie poświęcenie, któremu nie sprostą żaden naród, premier angielski przyznał połowę naszej ojczyzny Rosji” (str. 117).

„Od czasu tej mowy lutowej” — pisze z goryczą Wańkowicz — „stosy artykułów kłamliwych i bynajmniej nie „fair” powypisywała prasa angielska. Usta naszej prasie polskiej zamknięto. Każdej enuncjacji rosyjskiej dawano szerokie echo. Żołnierz, który przeszedł piekło rosyjskie i widział, że moc niemiecka się kończy, nie miał nawet prawa do zdrowej strawy duchowej, do tego, aby mówić prawdę. Teraz z tą prawdą o drugim rabusiu, potężnym, przychodził słabnący rabuś... A jednak — przedziwny jest nasz żołnierz. Pochodzi przeważnie z Kresów. Niemców nie widział, w Rosji pił z czary ostatecznego poniżenia godności ludzkiej. Wie, że Niemcy i tak będą pokonane. Wie, że szafuje się jego krwią, a natomiast nie dotrzymuje się zobowiązań. A przecież grube palce z pogardą gnją niemieckie odezwy... Ten żołnierz — będzie się bił, „bo taki jest jego obyczaj”, mówiąc słowami Żeromskiego.”

Toteż w walce dał on wszystko z siebie, dla osiągnięcia tego przyświecającego mu jedynie celu: niepodległości Polski. „Napięcie walki” — jak konstatuje znowuż Wańkowicz — „przechodzi wszystko, dowódcy i żołnierze w tym piekle dają z siebie największy wysiłek, na jaki stać człowieka, człowieka o wybitnej odwadze i poświęceniu — nawet ranni pozostają na miejscu, by czymś do końca przyczynić się do zwycięstwa” (str. 377).

Dziś wiemy, że pomimo osiągnięcia tak wspaniałego i ofiarnego zwycięstwa, jakim było zdobycie Monte Cassino, cel polityczny tej bitwy nie został dotychczas osiągnięty. A jednak nie dopuszczamy myśli, aby bitwa ta była zbędna.

Znamy dzieje Polski. Ileż to było pozornie nieskutecznych wysiłków i krwi przelanej! Wojny napoleońskie, Somosiera, powstanie listopadowe i styczniowe... długi, długi szereg pełnych chwały i bohaterstwa nazw, symboli. A w wojnie ostatniej: Kutno, Hel, Westerplatte, Narwik, battle of Britain, Tobruk, Warszawa i — Monte Cassino, jako kopuła świadomej walki... politycznej o cele polskie.

I przeciwko zmarnowaniu tego kapitału politycznego, jakim jest Monte Cassino dla sprawy polskiej, przeciwko niewygraniu tego atutu w polityce międzynarodowej, atutu o wielkiej wadze, jeśli się go traktuje jako wkład Polski w zwycięstwo Aliantów nad Niemcami — przeciwko temu wszystkiemu buntuje się każde serce polskie, buntuje się polska racja stanu,

buntuje się myśl polityczna narodu.

Traktując Cassino — nie jako wielki atut polityczny, będący wspaniałą kumulacją całego naszego wysiłku orężnego w tej wojnie, atut—który w odpowiednim momencie musi być rzucony przez nas na stół w rozgrywkach międzynarodowych lecz jako pełną chwałę Somosierę współczesną — krzywdzimy pamięć tych wszystkich, którzy polegli z wizją wolnej Polski w

umierających oczach — tam na zboczach Monte Cassino!

Nie dopuścimy, by ofiara ich życia — stała się bezcelowa! Monte Cassino bowiem powinno stać się żywym nakazem dalszej walki o Polskę. Walki tak samo bohaterskiej, jak tamta, tylko — w tym świecie handlarzy i kupców — może mniej bezinteresownej...

Xawery Glinka

## DZIESIĘCIU Z PAWIAKA

(Z okazji czterdziestej rocznicy)

W dniu 27 kwietnia br. upłynęło czterdzieści lat od porwania z więzienia śledczego przy ul. Pawiej w Warszawie dziesięciu Polaków, którym za walkę zbrojną z rosyjskim najeźdźcą groziła kara śmierci. Był to pierwszy tego rodzaju wyczyn w historii walk niepodległościowych.

Korzystając, że na terenie Jerozolimy przebywa obecnie bohater główny tej szaleńczej, o niesłychanym napięciu akcji — wówczas członek Organizacji Bojowej PPS, teraz: generał W.P. Jur Gorzechowski Jan, zwróciliśmy się do Niego z prośbą, aby z okazji przypadającej w roku bieżącym 40 rocznicy porwania z Pawiaka — zechciał opowiedzieć, jak się to właściwie wszystko odbyło.

Oto opowieść Generała Gorzechowskiego.

Był to rok 1906. Czterdzieści lat temu! Wiosna. Walka PPS z caratem, z najeźdźcą rosyjskim — w całej pełni. Organizacja Bojowa PPS rozwija swą działalność wykorzystując każdą sposobność — bez względu na to, z jakim ryzykiem jest to związane.

Więc napad na Kasę Skarbową w Wysokim Mazowieckiem, więc ciągle starcia zbrojne z policją i żandarmerią rosyjską, zglądanie szpiegów, prowokatorów itp. Zawsze coś nowego, nie oczekiwanego ani przez wroga, ani przez własne społeczeństwo. Zawsze jakiś sukces, podnoszący na duchu i potwierdzający, że przecież walka jest możliwa, a zatem — bezwzględnie wskazana, konieczna!

Akcja Organizacji Bojowej PPS miała na względzie zawsze dwa cele. Wyrządzić Moskalom taką czy inną szkodę, a przynieść efektywną korzyść swoim, polskiej sprawie.

W tym też kierunku szły pomysły prowadzących tę akcję.

W kwietniu 1906 roku przebywało w więzieniu śledczym przy ul. Pawiej w

Warszawie, popularnie zwanym — Pawiak, kilkunastu Polaków, więźniów politycznych, których sprawy zaliczały się do gardłowych. Groził im w wyniku śledztwa wyrok śmierci. Trzeba było tedy ludzi tych ratować.

Organizację tej akcji powierzono mnie. Zabrałem się do pracy z wielkim pośpiechem, gdyż śledztwo niektórych bojowców zbliżało się ku końcowi. Mogli być przewiezieni następnie do Cytadeli, skąd wydostać ich było by bardzo trudno. Miałem niecałe trzy tygodnie czasu.

Postanowiłem porwać dziesięć osób, gdyż tyle więźniów mieściła karetkę więzienna z Pawiaka, którą zamierzałem się posłużyć. To zdecydowało o życiu jednego prowokatora — niejakiego Kozery — którego pierwotnie postanowiłem porwać i powiesić. Dużo bowiem naszych bojowców miał ten lotrzyk na swym plugawym sumieniu, zanim wykryliśmy jego nieczną robotę. Ale względ, że pozostawić bym musiał w rękach rosyjskich prawdziwego więźnia-Polaka, zmusił mnie do zaniechania pierwotnego zamiaru.

Przeznaczeni do porwania więźniowie nie wszyscy byli bojowcami PPS. Wśród nich znalazło się dwóch członków partii „Proletariat“ (socjalistyczna partia, która powstała przed PPS) i jeden członek Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego.

Najważniejszą i najtrudniejszą rzeczą w naszym przedsięwzięciu było uzyskanie urzędowego blankietu oberpolicmajstra warszawskiego.

Słynny adwokat Stanisław Patek — późniejszy ambasador Rzeczypospolitej w Moskwie i w Stanach Zjednoczonych, wówczas zaś gorący nasz zwolennik i dzielny obrońca naszych towarzyszy, którzy wpadali byli w ręce Moskali — podjął się tego zadania. Udał się on do oberpolicmajstra pka Mejera i w czasie

rozmowy w jakiejś drugorzędnej sprawie — wykorzystując jego nieuwagę — skradł kilka potrzebnych nam blankietów, leżących na biurku.

Dalszą pracą było napisanie rozkazu o przetransportowaniu z Pawiaka do pawilonu Cytadeli dziesięciu wymienionych z imienia i nazwiska więźniów. Przetrasportowanie zlecał oberpolicmajster oddawcy rozkazu rtm. żand. bar. Budbergowi, który miał się zgłosić po więźniów w nocy na 27 kwietnia 1906 roku z oddziałem policjanów z Ochrany. („Ochra“ — była to carska policja polityczna; transporty z więzienia do więzienia odbywały się wg praktyki rosyjskiej wyłącznie w nocy).

Po napisaniu rozkazu trzeba było podrobić podpis Mejera oraz pieczęć okrągłą i lakową dla zalakowania koperty. Pieczęcie wykonał rytownik — członek Organizacji Bojowej. Podrobieniem podpisu zajął się Mieczysław Zahorski, późniejszy urzędnik naszego MSZ. Zrobił to tak po mistrzowsku, iż Mejer potem nie mógł wyjść z podziwu. Oświadczył on, że pod inną jakąś treścią bezwzględnie by uznał ten podpis za swój własny.

Odegranie roli rtm. żand. bar. Budberga wziąłem na siebie. Byłem wówczas mężczyzną w sile wieku. Nosilem długą—do pasa niemal—brodę. Mogłem więc uchodzić za jakiegoś kurlandzkiego barona, Niemca, których sporo było w carskiej żandarmerii, gdzie się gorliwie wysługiwali Rosji.

Nazwisko: Budberg wybrałem nie przypadkowo. Czytałem pamiętniki gen. Siewersa, ambasadora rosyjskiego w Warszawie w końcu XVIII wieku, i z tych pamiętników wiedziałem, że w czasach konfederacji barskiej dowódcą Połtawskiego Pułku Piechoty (moskiewskiego — oczywiście) był jakiś baron Budberg, który się wslawił rozbiciem jednego z oddziałów konfederatów bar-

skich, za co targowiczanie obdarzyli go cennym prezentem. Byłem tedy pewien, iż takie nazwisko nie skompromituje mnie wobec więziennych władz moskiewskich. I wybrałem je bez wahania.

Role rosyjskich policjantów z Och-rany, którzy mieli stanowić asystę bar. Budberga, powierzyłem ludziom pewnym i tak samo, jak ja, zdecydowanym na wszystko. Nie zawiedli.

W toku dalszych przygotowań — trzeba było zaopatrzyć się w rosyjskie uniformy. Przede wszystkim potrzebne były płaszcze i buty. (Choć była wiosna, po nocach panowały jeszcze chłody). Potrzebne były także przepisowe — z numerami — czapki. Nie przedstawiało to wszystko większych trudności, gdyż

Organizacja Bojowa rozporządzała dostatecznymi funduszami, zdobytymi na Moskalach. Czapki więc kupiono po prostu w sklepach, numery zaś na blachach, fikcyjne — ma się rozumieć — zrobiłem własnoręcznie laubzegą. Buty również kupiono, płaszcze — zrobił krawiec, członek Organizacji. Pod płaszczami miały być cywilne ubrania wzgl. robotnicze bluzy i spodnie, ażeby potem można było pozbyć się policyjnego przebrania w jednej chwili. Do kołnierzy płaszczy poprzyszywano kołnierze mundurów, ponieważ kołnierze rosyjskich mundurów były stojące i musiały wystawać spod płaszczy. Rewolwerów — rosyjskich naganów — mieliśmy pod dostatkiem.

Uniform żandarmski otrzymałem od pewnego oficera rosyjskiego, rewolucjonisty i naszego sympatyka. Za jego też pośrednictwem wykradzono z artylerii szable. Te artyleryjskie szable wprawiły mnie w niezwykle kłopot w chwili decydującej. Ale o tym powiem we właściwym miejscu. W chwili zaś otrzymania zajmowałem się nimi o tyle, że bardzo starannie spiliwałem z nich numery, ażeby zatrzeć ślady, skąd zostały zdobyte. (Kiedy potem śledztwo rosyjskie głowiło się nad tym pytaniem, nie doszło do niczego poprzez stając na przypuszczeniu, iż szable pochodziły z... Moskwy).

Organizacja Bojowa PPS była naturalnie b. popularna w polskim społeczeństwie. Jedni, zresztą — nieliczni, potępiali ją, inni byli gorącymi sympatykami i zwolennikami do tego stopnia, że — jak np. Patek — angażowali się w nasze przedsięwzięcia z całą świadomością ryzyka i tragicznych konsekwencji, jakie by musieli ponieść w przypadku wykrycia ich współdziałania z nami.

Do takich odważnych zwolenników naszych należeli też małżonkowie Dębowscy, eks-obywatele z Mławskiego. Mieli oni w Warszawie przy ul. Brackiej „tattersal” — przedsiębiorstwo sprzedaży i wynajmu doborowych koni oraz eleganckich powozów, karet itp. Z tego tattersalu raz po raz korzystaliśmy, gdyż Dębowscy dawali nam środki lokomocji, potrzebne do wywiadu czy nawet zamachu.

Lecz nie koniec na tym. W mieszkaniu Dębowskich urządziliśmy kwaterę konspiracyjną. Przy ul. Smolnej 23 lub 25 (już nie pamiętam). Zadecydowała o tym nie tylko zgoda gospodarzy, lecz i okoliczność, iż dom, w którym Dębowscy mieszkali, miał dwa wejścia: z dwu równoległych ulic — ze Smolnej (głównie) i z Alej Jerozolimskich (tylne, zawsze zamknięte). Do tego zamkniętego wejścia dorobiliśmy klucz i byliśmy w ten sposób zwolnieni od obserwacji dozorczy, jak się to wówczas mówiło: stróża oraz innych niepowołanych a częstokroć b. niebezpiecznych osobników.

Z tej to kwatery poszła nasza akcja. Zawczasu poznoszono tam wszystko potrzebne do przebrania i wyprawy... I oto dnia krytycznego przed godz. 11 w nocy, tzn. przed zamknięciem bramy, w pojedynkę zeszło się w mieszkaniu Dębowskich 7 osób. Do akcji brałem ze sobą tylko 6 osób, tylu bowiem strażników eskortowało zazwyczaj karetkę więzienną z Pawiaka. Siódmym był Adam Bujno, pseudonim partyjny: Jerzy, który miał pomagać nam podczas przebierania się oraz był przeznaczony do specjalnego zadania.

O godzinie pół do pierwszej w nocy z 26 na 27 kwietnia 1906 roku kancelaria więzienia śledczego na Pawiaku otrzymała telefoniczną zapowiedź, którą nadał dyżurny oficer Zarządu Oberpolicmajstra m. Warszawy. Oficer zawiadamiał, że w niedługim czasie przybędzie do więzienia policja z Och-rany: oddział 6 stójkowych pod dowództwem oficera — rtm. żand. barona Budberga, który ma przetransportować do X pawilonu Cytadeli dziesięciu więźniów politycznych — tu następowały dokładne nazwiska i imiona. Poza tym oficer polecał, aby uprzedzono tych więźniów, że mają odjechać, i polecono im przygotowanie się do drogi. Drżący głos urzędnika kancelarii więziennej potwierdził przyjęcie rozkazu, lecz służbista oficer kazał urzędnikowi odczytać to, co mu podyktowano, aby się przekonać, czy dobrze został zrozumiany. Urzędnik także i to żądanie wypełnił.

W więzieniu bowiem nie powstało ani cienia podejrzenia. I było to całę szczęście, gdyż w rzeczywistości do więzienia telefonował nie dyżurny oficer oberpolicmajstra, lecz towarzysz Adam Bujno, który wyszedł tylną bramą i zatelefonował z apteki Mutniańskiego, mieszczącej się na rogu Smolnej i Nowego Świata. Miał dobry akcent rosyjski i umiał mówić rozkazująco. W ten sposób pierwszy krok naszej akcji wypadł udanie: rybka rosyjska haczyk polknęła!

Na Smolnej tymczasem ostatnie przygotowania były w pełnym toku. Omawialiśmy jeszcze niektóre szczegóły oraz przebieraliśmy się: ja — w mundur rotmistrza żandarmerii rosyjskiej, moi towarzysze — w mundury policjantów. Trochę charakteryzowaliśmy się. Jak wspomniałem, nosiłem długą brodę. Tę brodę rozdzieliłem na dwie części, w rodzaju dwu klinów. A że te kliny nie byłyby się trzymały, smarowałem je czarnym fiksatuarem.

Kiedyś się uporali już ze wszystkim, spostrzegłem, iż moi „strażnicy” mają nie czarne, lecz żółte pendenty. Jak już o tym mówiłem, szable ich były z artylerii, gdzie paski, na których wisiały, tzw. pendenty, były żółte. Policyjne zaś pendenty były wówczas czarne. Cóż było robić?! Na szukanie właściwych pendentów nie było już czasu. Więc nie namyślając się długo poczerpnęłem je własnoręcznie — tak jak i swą brodę... fiksatuarem!

Wszystko gotowe. Przed odejściem — pożegnanie się z pozostającymi. Chwila nieco niezwykła, uroczysta. W tym momencie p. Dębowska bierze z kolyski dziewięciomiesięczne śpiące dziecko i daje mi je do pocałowania — na szczęśliwą wróżbę, na „błogosławieństwo”. Pocałowem to maleństwo... Byliśmy trochę wzruszeni. Wszak z myślą o przyszłości młodych, idących pokoleń prowadziliśmy walkę z caratem, z najeźdźcą rosyjskim.

O godzinie pół do drugiej w nocy 27 kwietnia 1906 roku wyszedł z zamkniętej bramy jednego z domów przy ul. Aleje Jerozolimskie (numeru już nie pamiętam) oddział policji. Nie wzbudził on żadnego podejrzenia, gdyż takie wyrastania spod ziemi, tzn. ciche wychodzenie z zamkniętej bramy ukrytej tam policji — były na porządku dziennym, a zwłaszcza w nocy.

Do oddziału tego należeli: Dąbrowski Edward (pseudonim partyjny: Łysy), Kruk — pseud. partyjny (nazwiska nie pamiętam), Jarząbkiewicz (ps. p. — Far-

mak) — bojowcy PPS, a ponadto nie-  
jaki Hejdukowski z Wilna oraz jeszcze  
dwaj towarzysze wyprawy, nazwiska  
których i stosunek do Organizacji wy-  
szły mi niestety z pamięci zupełnie.

Ustawiliśmy się i pomaszzerowaliśmy  
w stronę Wisły — nie mówię: w stronę  
Mostu Poniatowskiego, bo mostu tego  
wówczas jeszcze nie było. Skreśliśmy  
na ul. Smolną, która lukiem styka się  
z Alejami Jerozolimskimi, i przecho-  
dząc przed główną bramą domu, gdzie  
była nasza kwatera, doszliśmy do rogu

Nowego Świata. Niedaleko restauracji  
Gablera (późniejsza „Gastronomia”)  
oddział zatrzymałem. Tu bowiem pel-  
nił służbę autentyczny stójkowy rosyj-  
skiej policji — wysoki jakiś moskiew-  
ski dryblas, którego zawołałem do sie-  
bie i kazałem mu sprowadzić dwie do-  
rożki. Dorożkami tymi udaliśmy się na  
Pawiak.

Przed bramą więzienną, po odprawie-  
niu jednej dorożki (drugą zatrzyma-  
łem), staliśmy dość długo. Mimo moc-  
nego pukania, nikt jakoś się nie zgła-

szal. Wreszcie uchylono „judasza” w  
bramie i zobaczono, kto dzwoni.

— Atpiraj, gaspadin aficer prijechali!  
(„Otwieraj, pan oficer przyjechali!”) —  
rozległo się za bramą, w ślad za czym  
przy skrzypieniu rygli i brzęku żelaza  
— otwarła się furtka więzienia. „Czy  
nie zamknie się ona za nami na czas  
dłuższy?!“... przemknęło mi przez myśl.  
Ale to nie wpłynęło na mój spokój.  
Trzeba było wchodzić, więc weszliśmy!

Była godzina 2, minut 12 w nocy.

(Dokończenie nastąpi).

J. Jastrz.

JULIUSZ ŁUKASIEWICZ

## Piłsudczycy w Europie zachodniej i na Bliskim Wschodzie

Przemówienie wygłoszone na wieczorze po-  
święconym pamięci Józefa Piłsudskiego 19  
marca 1946 w Londynie. — Redakcja

Zanim przejdę do uwag o działalności piłsud-  
czyków podczas minionej wojny we Francji i W.  
Brytanii, a później na Bliskim i Środkowym Wscho-  
dzie, chciałbym przytoczyć tu parę wyjątków z depe-  
szy ministra Józefa Becka, które jako ambasador R.P.  
otrzymałem w końcu września 1939 r.

W depeszy z dnia 28 września, wysłanej konspi-  
racyjnie z miejsca internowania w Rumunii, minister  
Beck komunikował mi, co następuje:

„Dla orientacji Pana Ambasadora podaję, że w  
tej ciężkiej chwili Prezydent R.P. i Rząd bronią cią-  
głości legalnej władzy w Polsce po to, aby unie-  
możliwić względnie osłabić zamiary okupantów i intrygi  
niektórych państw sprzymierzonych. Sprawa osoby  
jest drugorzędna. Konieczne utrzymanie precedensu  
belgijskiego (z poprzedniej wojny).

Proszę działać pamiętając, że w wojnę koalicyj-  
ną Polska wniosła taki wkład, który ją upoważnia do  
stawiania żądań.

Beck”.

W depeszy ostatniej, wysłanej dnia 30 września  
1939 r., już po dojściu do ministra Becka wiadomoś-  
ci o trudnościach, które napotkałem ze strony rządu  
francuskiego przy załatwianiu sprawy uznania nastę-  
pcy Prezydenta, czytamy:

„Pan Prezydent R.P. i Rząd mają jedynie na  
względnie pozycję naszego państwa. Wszelkie ewen-  
tualności mogą być rozważane, o ile nie przerywają  
ciągłości legalnej władzy i nie prowadzą do uzależ-  
nienia nas od sił. W tej dziedzinie dobór ministra  
spraw zagranicznych jest decydujący.

Beck”.

Niestety, jak wszyscy to pamiętamy, przy zmia-  
nie aktu Prezydenta Mościckiego została zachowana  
tylko ciągłość legalnych władz państwowych Rzeczy-  
pospolitej, nie udało się natomiast zachować ciągłości  
jej polityki.

Pierwszy nasz Rząd na emigracji znalazł się w rę-  
ku ludzi, którzy stanęli na stanowisku, że wrześnieowa  
klęska wojenna Polski była spowodowana niemal wy-  
łącznie przez rzekome błędy polityki Piłsudskiego i  
wyznawców jego ideologii. Ogromna większość człon-  
ków tego Rządu z premierem Sikorskim na czele nie  
potrafiła nigdy przejąć się tym, że „w wojnę koali-  
cyjną Polska wniosła taki wkład, który uprawnia ją do  
stawiania żądań”. Odwrotnie — napływających do  
Francji uchodźców-żołnierzy uczono przesadnej pod  
tym względem skromności, a nawet bicia się w piersi.  
Postępowano tak, jakby wierzone, że gdyby przed  
1939 r. Polska była rządzona nie przez Piłsudskiego,  
jego zwolenników i następców, lecz przez tych, którzy  
objęli rządy na emigracji, moglibyśmy uniknąć klęski  
wrześnieowej. Istotnym wyrazem polityki wewnętrz-  
nej Rządu stała się walka z konstytucją 1935 r., której  
zawdzięczaliśmy możliwość zachowania na emigracji  
ciągłości zwierzchnich władz Rzeczypospolitej, uzna-  
nych przez wszystkie państwa, prócz Rosji i Niemiec.

Towarzyszyło temu publiczne oczernianie wszyst-  
kiego, co w Polsce było związane z imieniem Piłsud-  
skiego — a represje wobec szeregu piłsudczyków po-  
sunięto tak daleko, że w licznych wypadkach unie-  
możliwiano im nawet zaciągnięcie się do wojska. W sto-  
sunku do sojuszników, miast twardej obrony praw i  
zasług Polski, zaczęto uprawiać taktykę zmierzającą  
do przypodobania się im. Ta wszystkim nam dobrze  
znana polityka rządów gen. Sikorskiego określała na-  
sze, piłsudczyków, zadania na emigracji naprzód we

Francji, później w W. Brytanii, na Bliskim Wschodzie i we Włoszech oraz w Szwajcarii.

Celem naszych wysiłków stała się obrona pamięci i ideologii Piłsudskiego oraz ciągłości tej polityki Rzeczypospolitej, która sprawiła, że Polska nie tylko nie stała się obiektem jakiegoś nowego Monachium, ale że jej decyzje skłoniły Francję i W. Brytanię do wypowiedzenia wojny Hitlerowi. Chodziło tu nie tylko o praktyczne działania polityczne, ale w pierwszym rzędzie o tę zasadniczą, moralną postawę wobec świata zewnętrznego, przekazaną nam przez Piłsudskiego, która w oparciu o wysokie poczucie godności Rzeczypospolitej pozwalała Polsce kierować się własną racją stanu i wymagać od innych państw poszanowania zarówno jej praw, jak i jej pozytywnego wkładu do współpracy międzynarodowej, a następnie do wojny.

W ten nowy okres naszej działalności weszliśmy w gronie bardzo nielicznym bez określonej organizacji, która by nas wszystkich łączyła. Za życia Komendanta nie odczuwalismy nigdy potrzeby żadnej takiej organizacji. Każdy z nas na swoim posterunku służby politycznej, urzędowej, wojskowej, społecznej czy gospodarczej czuł się związany kierującą losami Polski wolą Piłsudskiego i to mu wystarczało.

Stanowiliśmy jedność organiczną, silniejszą i bardziej zwartą od tych, które opierały się na najlepiej zorganizowanych kadrach partyjnych. Po śmierci Komendanta próba zastąpienia tej jedności przez OZON nie dała pozytywnego rezultatu. Liczne grono piłsudczyków, wśród nich wielu najbliższych współpracowników Komendanta, nie tylko nie należało do tej organizacji, ale ustosunkowało się do niej zdecydowanie krytycznie.

W chwili kryzysu państwowego, wywołanego przez internowanie Prezydenta, Rządu i Naczelnego Wodza w Rumunii, spotkało nas, piłsudczyków, poważne niepowodzenie. W końcu wrzeźnia 1939 r. były nadzieje na to, że najstarszy z nas — gen. Sosnkowski — zdola dotrzeć do Paryża jeszcze przed nominacją nowego Prezydenta i utworzeniem pierwszego rządu na emigracji. Nie tylko my, ale wszyscy opozycyjni działacze polityczni, którzy wraz z gen. Sikorskim byli wcześniej w Paryżu, uważali, że jeżeli gen. Sosnkowski przybędzie na czas, do niego będzie należała pierwszoplanowa rola w sprawach państwowych, politycznych i wojskowych. Gdyby tak się stało, łatwiej było by nam niewątpliwie bronić zarówno ciągłości polityki Rzeczypospolitej, jak i jej postawy wobec świata zewnętrznego.

Niestety, gen. Sosnkowski mógł rzybyć do Paryża dopiero w kilkanaście dni po ukonstytuowaniu się zwierzchnich władz Rzeczypospolitej w ich nowym składzie personalnym. Objął on w rządzie gen. Sikor-

skiego sprawy krajowe i jak niegdyś przy boku Piłsudskiego, tak teraz samodzielnie w bardzo trudnych warunkach przystąpił do odbudowywania naszej siły zbrojnej w Kraju, okupowanym już przez Niemcy i Rosję.

W tych warunkach działalność piłsudczyków, którzy znaleźli się we Francji lub stopniowo napływali do niej przez różne zielone granice, poszła dwiema drogami. Większość starała się dostać do wojska, nie wszystkim to się udało, a pewną część izolowano w Cerisée. Inni, przeważnie dawni urzędnicy państwowi lub działacze polityczni i społeczni, podejmowali wszelkie możliwe wysiłki, by przeciwdziałać błędnej postawie Rządu zarówno w jego polityce zagranicznej, jak wewnętrznej.

Sytuacja nasza była tym trudniejsza, że przez dłuższy czas nie tyle może pod wpływem nagonki rządowej, co wskutek wstrząsu wrzeźniowego, wielu z nas żyło w niepokoju i zrozumiałej trosce, czy w przeszłości, za którą czulismy się odpowiedzialni, nie popełniono jakichś katastrofalnych błędów. Nie były to jednak z pewnością rozważania bezowocne — w ostatecznym rezultacie umocniły nas one w zrozumieniu wielkości i dalekowzroczości poczynań i myśli Piłsudskiego, związały nas jeszcze mocniej z zasadniczymi, trwałymi zrębami jego ideologii. Im bardziej oddalaliśmy się od klęski wrzeźniowej, im jaśniejszym stawał się jej przebieg, tym bardziej wyraźnie zarysowywał się ten najistotniejszy realny rezultat pracy Piłsudskiego, że w dwadzieścia pięć lat od chwili, gdy On sam tylko z garstką młodzieży stanął do czynnej walki o niepodległość, cały nasz naród bez najmniejszych wyjątków przyjął nakaz walki, jako swój naczelny obowiązek.

Niebawem stało się też pewne, że w Kraju, gdzie odruch ostrej niechęci, niekiedy nawet nienawiści w stosunku do tzw. reżimu przedwojennego był w znacznym stopniu zrozumiały, odruch ten nie dotyczył pamięci Piłsudskiego. Całkiem odwrotnie. Każda nowa wieść z Kraju wskazywała, że szerokie masy społeczeństwa otaczają pamięć Piłsudskiego coraz większą czcią i tesknotą. Niestety, i nie bez nieustannego w tym kierunku wysiłku rządów gen. Sikorskiego, to zdrowe różniczkowanie stosunku naszego narodu do przeszłości sprzed 1939 r. nie objęło nigdy w tym samym stopniu emigracji. Dla nas, piłsudczyków, było ono jednak jeszcze jednym wyrazem wielkości Komendanta i nowym bodźcem do walki w imię jego wskazań.

Trudno było by tu mówić szczegółowiej o naszych pracach w pierwszym francuskim okresie bytowania na uchodźstwie; to pewne jednak, że choć wyszliśmy z tego okresu jeszcze bez własnej organizacji, przez czas jego trwania przeliczyliśmy się i zespo-

lili. Może najlepszym wyrazem naszej roli w tym czasie było to, że gdy po klęsce Francji, rząd gen. Sikorskiego i politycy z nim związani udali się do Anglii, dalszy wysiłek polski we Francji oparł się niemal całkowicie na pilsudczykach i doprowadził do powstania masowej i sprawnej organizacji pod hasłem czynnej walki o odzyskanie niepodległości.

Z drugiej strony poważna grupa pilsudczyków, którzy znaleźli się w Grenoble, podjęła i prowadziła przez cały czas okupacji systematyczną akcję publicystyczną, odczytową i dyskusyjną, która przyczyniła się poważnie do utrzymania na wysokim poziomie postawy dość już licznego grona uchodźstwa wojennego.

Inne zadania czekały nas w Anglii. Opuszczając Francję byliśmy świadkami tego, jak zbyt nie zaufanie do Francuzów i brak własnego sądu doprowadziły w ostatniej chwili do chaotycznej ewakuacji Rządu i wojska, przy której znaczna część naszej odbudowującej się siły zbrojnej została straconą, większość emigracji cywilnej zostawiona bez opieki, a zapas złota Banku Polskiego narażony na poważne niebezpieczeństwo.

Nazajutrz niemal po przybyciu do Londynu dowiedzieliśmy się natomiast o memorandum, które gen. Sikorski złożył rządowi brytyjskiemu bez wiedzy Prezydenta R.P. i Rządu oraz Rady Narodowej. Tematem tego memorandum była propozycja utworzenia po stronie sowieckiej z ludności ziem polskich, okupowanych przez czerwoną armię, 300.000 armii polskiej. W ten sposób gen. Sikorski jako premier Rządu R.P. i Naczelny Wódz zgłosił gotowość pertraktowania z wrogiem, z którym Polska była wówczas w stanie wojny, który okupował połowę jej terytorium i znęcał się nad naszymi rodakami równie barbarzyńsko, jak Niemcy, deportując ich setkami tysięcy na Sybir i w głąb Rosji. Memorandum, złożone przez gen. Sikorskiego Anglikom, było dokumentem równoznacznym z upoważnieniem rządu sowieckiego do przeprowadzenia na ziemiach polskich poboru do armii, przeciw czemu jeszcze przed paru miesiącami gen. Sikorski protestował. Poza wszystkim należało obawiać się poważnie, że memorandum jest już znane Moskwie i może

ułatwić w przyszłości zakwestionowanie naszych praw do kresów wschodnich.

Fakt złożenia memorandum przez gen. Sikorskiego i jego treść były oczywiście znane wszystkim naszym oficjalnym czynnikom włącznie do członków Rady Narodowej.

Wszyscy niemal zdawali sobie dokładnie sprawę, że stała się rzecz niedopuszczalna i wysoce niebezpieczna, nikt jednak nie decydował się wyciągnąć z tego konsekwencji. W tych warunkach nie pozostało nic innego, jak spróbować wywołać reakcję czynników oficjalnych przez ujawnienie całej sprawy wobec opinii emigracyjnej. Zrobiliśmy to w formie listu do Prezydenta podpisanego przeze mnie i rozesłanego w kilkunastu odpisach członkom Rządu, Rady Narodowej i paru generalom.

Nie wiem oczywiście, w jakim stopniu to nasze wystąpienie przyczyniło się do tego, że w parę dni później Prezydent R.P. udzielił dymisji gen. Sikorskiemu i powierzył utworzenie nowego rządu Augustowi Zaleskiemu. Sądziliśmy wówczas i mniemamy obecnie, że ujawniając niekonstytucyjne metody działania gen. Sikorskiego, poddając odpowiedzialnej, niemal publicznej krytyce jego pierwszy akt polityczny na ziemi brytyjskiej, za którym przyszedł później układ 1941 r. z Rosją Sowiecką, spełniliśmy nasz obywatelski obowiązek. Niestety, jak wiadomo, kryzys lipcowy 1940 r. skończył się niczym i rząd w dawnym, niezmiennym składzie pozostał. Sprawa memorandum nie stała się nawet tematem dyskusji Rady Narodowej, a Rząd wyciągnął z niej tylko tę konsekwencję, że zastosowano wobec grona pilsudczyków ostrzejsze represje, osadzając liczną ich grupę z b. premierem M. Kościalkowskim na wysepce Rothsay. Nieco później podjęto kroki wobec władz brytyjskich domagając się wysłania kilku pilsudczyków o bardziej znanych nazwiskach do kolonii afrykańskich ze względu na... Bezpieczeństwo tej wyspy w czasie wojny z Niemcami. Innymi słowy insynuowano dość przejrzyście, iż jesteśmy czymś w rodzaju znanej wówczas dobrze piątej kolumny.

(Dokończenie nastąpi.)

## M I Ę D Z Y M O R Z E

### SPROSTOWANIE OMYŁEK

Do artykułu dra Wilhelma Krzysztonia pt. „Ludność Międzymorza i jej dynamika” wkradły się następujące błędy: str. 14, lam 3, wiersz 6-7 od góry, jest: z końca 1933 r., ma być: na 16 czerwca 1933 r.; wiersz 12 od góry, jest: 11.7<sup>0</sup>/<sub>100</sub>, ma być: 10.9<sup>0</sup>/<sub>100</sub>; wiersz 3-4 od dołu, jest: a również około 64.1%, ma być: a ponad 68.6%; wiersz 1 od dołu, jest:

180.700.000, ma być: 170.126.000 str. 15, lam 1, wiersz 24 od góry, jest: (66.2), ma być: (62.2); lam 2, wiersz 3 od dołu, jest: 27, ma być: 27%; lam 3, wiersz 23 od góry, jest: statystyki, ma być: statystyki sowieckiej; strona 16, lam 2, wiersz 13 od dołu, jest: 20%, ma być: 20<sup>0</sup>/<sub>100</sub>; str. 18, lam 3, wiersz 18 od góry, jest: 14.9%, ma być: 14.9<sup>0</sup>/<sub>100</sub>.



## Z KSIĘGI PSALMÓW

*Do ciebie, Panie, wołam, skało moja! Nie milcz  
na wołanie moje, bym śnać, jeśli mi się nie oz-  
wiesz, nie stał się podobny zstępującym do grobu.*  
(XXVIII, 1)

*Do ciebie wołam, wieczna skało,  
Usłysz wołanie moje,  
Otwórz się źródłem: wodą białą  
Usta napoję.*

*Do ciebie wołam, wieczny Panie,  
Łaska niech mnie wysłucha,  
Otwórz się słowem: zmiłowanie  
Ukaż dla ducha.*

*Otwórzcie się, opoki Boże,  
A z wiecznych prawd zasobu  
Wiarę na sercu mym położę  
I wyjdę z grobu.*

## SERCE NA ROSSIE

*Serce, serce na Rossie, któreś tam usnęło,  
By jeszcze jednym w ziemi ostrobramskiej ziarnem  
Obradzać, jak Mickiewicz, i trwać, jak Jagiello,  
Pod niebem prawd tak żywych, że aż legendarnym —  
Dzisiaj, gdy noc okrutna z wszystkich stron zapadła  
I od zachodu mroczy po wschód widnokreśli,  
Odezwij się w tym kraju, gdzie błądzą widziadła  
I duchy dawnych czasów i dawnej potęgi,  
Uderz głośno pod płytą i wyjdź między ludzi  
I niezbędne zaklęcie w tę noc straszną wymów:  
Niech nam się świat odnowi i w nim się obudzi  
Serce wolnych Polaków i wolnych Litwinów.*

## JEST W POLSCE JEDNA DROGA

*Jest w Polsce jedna droga, od lat wyjeżdżona,  
Na wschód północy wiedzie, znana od stuleci,  
Za mężem w noc porwanym płakała tam żona  
I od matek oddarte ginęły tam dzieci.*

*Mysleliśmy — czas minął. Ziemia każdym latem  
Znad Niemna nosła czary i z łak margarytki,  
Któż by śniąc nad Świtezją zatrzymał się nad tym,  
Ze kiedyś tędy mknęły na Sybir kibitki?!  
O, poro złud okrutnych, żaloszna rachubo,  
Po której się to samo powtarza, to samo,  
Ze lata są wygnaniem, dzień każdy jest zgubą,  
A w nocy słyhać salwy za więzienną bramą.  
Co teraz nas ocali, z obczyzny sprowadzi  
I nad Niemen domowy, nad Świtez powróci,  
Na jakie mamy słowo podnosić się, bładzi,  
I na jakie rozbijać te mury, zakuci?*

*Ach, jest to słowo — słyszysz? — w ślad za nami leci  
I wiarę nam umacnia nad wszelką zawilłość.*

*Jest w Polsce jedna droga znana od stuleci,  
Którędy wolność wraca z wszystkich wygnań. Miłość.  
Jest w Polsce jedna droga, gdzie prędzej czy  
później*

*Z cierpień moc taka wyjdzie, że Boga zadziwi:  
Powracają ojcowie, umarli podróżni,  
Budzą synów i walczą — poległi i żywi.*

## OŚWIADCZENIE

członków ZWIĄZKU PRACY dla PAŃSTWA we Włoszech

Członkowie Związku Pracy dla Państwa we Włoszech przyjmując do zatwierdzającej wiadomości oświadczenie Zespołu Piłsudczyków w Londynie z dnia 23 stycznia 1946 (vide „Listy z Londynu” z dnia 5 III br. nr 2/88) oświadczają, że zajmują analogiczne, krytyczne stanowisko do faktu utworzenia w Londynie Rady Polskich Ugrupowań Politycznych.

Związek Pracy jako organizacja ideologiczna dawał niejednokrotnie wyraz konieczności zejścia w chwili obecnej z płaszczyzny reprezentacji Narodu Polskiego przez członków czterech stronnictw, jako nie odpowiadającej polskiej rzeczywistości, a tym samym szkodliwej dla interesów R.P.

Dzis, gdy rzeczywistość polska wymaga większej niż kiedykolwiek solidarności obywateli polskich w walce o „lepsze jutro”, uważamy, że niczym nie uza-

sadnione dzielenie na ugrupowania „lepsze” i „gorsze” oraz wykluczenie nieorganizowanych krzywdzi Polaków, odsuniętych formalnie od udziału w walce, przede wszystkim zaś szkodzi interesom Polski, która winna występować na zewnątrz jako zwarty blok niepodległościowy.

Żadna uchwała nie zmieni prawdy, że do walki o wolną i niezależną Polskę ma nie tylko obowiązek, ale i prawo każdy obywatel polski. Prawdę tę ujawniają walki z okupantem na ziemi ojczystej od września 1939 r.

Stwierdzamy, że utworzenie Rady Polskich Ugrupowań Politycznych nie czyni zadość ani formalnie, ani faktycznie podstawowej konieczności państwowej w chwili obecnej

Italia, 19 marca 1946 r.

## ULICA MINISTRA BEVINA

Min. Bevin jest uczciwym człowiekiem. Traktujemy go też z całym należytym mu szacunkiem. Ale tragiczny los powołał go na stanowisko ministra spraw zagranicznych W. Brytanii w momencie, gdy i jego ojczyzna, i cały cywilizowany świat stanęły w obliczu nadciągającej burzy dziejowej, jaka do tychczas światu nie zagrażała. Z jego działalnością na tym stanowisku związana jest również w dużym stopniu sprawa polska. Dlatego też w naszych politycznych ocenach nie możemy kierować się żadnymi sentymentami, a jedynie realnymi przesłankami niepodległościowej, polskiej racji stanu.

Wielka międzynarodowa pralnia chemiczna pod zarządem Anglosasów wyprała nas całkowicie z idealistycznych złudzeń. Swego czasu powiedział prez. Truman, iż bomba atomowa jest dla niego świętym depozytem danym mu przez Opatrzność i że będzie wiernym strażnikiem tego depozytu dla dobra świata. My też mamy tutaj na emigracji swój święty depozyt. Dał go nam Kraj. Jest nim bezpardonowa walka o niepodległą Polskę. Jednym z kardynalnych elementów tej naszej walki jest mówienie prawdy. Sojusznikom i wrogom. Dlatego mówimy ją, będziemy mówić, musimy ją mówić.

Po swym powrocie z konferencji ministrów spraw zagranicznych wielkiej trójki w Moskwie w grudniu zeszłego roku — min. Bevin oświadczył publicznie: „Zaproponowałem komisarzowi Mołotowowi, że nie będziemy przeszkadzać Rosji w organizowaniu jej strefy bezpieczeństwa, ale na zasadzie wzajemności. Niechże więc Sowiety pozwolą mi urządzić moją ulicę.“

Co to znaczy? Była to klasyczna próba nawrotów do koncepcji stref wpływów, do podziału Europy. Rozpatrzmy ją pokrótce w świetle realnej rzeczywistości.

Pomijamy fakt, iż koncepcja ta jest jedną więcej zdradą tych haseł i ideałów, dla których rozpoczęto tę wojnę, jest zdradą narodów środkowo-wschodnich z Polską na czele, jest pogwałceniem traktatów i zobowiązań przyjętych przez W. Brytanię. Może jednak podział Europy zabezpieczy na dłuższy okres czasu W. Brytanię? Nie.

Jest to bowiem wielki błąd polityczny i grzech przeciw naturze. Po pierwsze — Europa jest niepodzielną całością, tak jak pokój i bezpieczeństwo. Nie można jej dzielić. Nie może być ani spokojnie, ani bezpiecznie na ulicy min.

Bevina, gdy na sąsiednich ulicach Europy szaleją pożar i zbrodnia. W epoce bomby atomowej świat zmałał i skurczył się, a Europa przede wszystkim. Jeśli okres słabości W. Brytanii jest groźbą dla Europy, to naodwrot — słaba i bezsilna Europa, pozbawiona koniecznej dla siebie i W. Brytanii równowagi — jest groźbą dla W. Brytanii. Powtóre, podział na strefy wpływów prowadzi do nieustannego i coraz większego wysiłku zbrojeń. Po trzecie, spółka podziłowa nie ma wspólnego języka i wspólnych celów.

Między W. Brytanią a Sowietami jest taka przepaść polityczna, ideologiczna i socjalno-społeczna, że nie sposób jej zasypać atramentem i papierem, ani załepić angielskim plasterkiem. Dlatego też wszelkie próby uniknięcia nieuniknionego starcia są politycznym błędem.

Po czwarte wreszcie, podział Europy jest nieistotny, gdyż walka toczy się nie o jeden kontynent, lecz o cały świat. Pocóż Sowietom dzielić się z kimś Europą, kiedy one dążą do owdądnięcia całą Europą i całym światem.

Tak więc projektowana ulica min. Bevina jest ślepym, tragicznym zaułkiem, do którego wpędziły go haniebne układy W. Churchilla w Moskwie, Teheranie, Jalcie i Poczdamie. Jeśli min. Bevin chce być tak uczciwym mężem stanu, jak jest uczciwym człowiekiem — musi dążyć do obalenia tych traktatów. Anglosasi muszą nawrócić do karty atlantyckiej i czterech wolności. Muszą uzgodnić swe piękne papierowe teorie o wolności narodów ze swym praktycznym działaniem. Wtedy odzyskają swą prawdziwą wielkość i szacunek na świecie, wtedy też ocalą samych siebie.

Publiczna opinia anglosaska widzi to coraz lepiej i coraz powszechniej. Ale rządy anglosaskie ciągle jeszcze nie chcą wkroczyć na tę jedyną drogę, prowadzącą do istotnego pokoju. Ciągłe się szuka prób kompromisu z Sowietami, ciągle się ludzi mirażem współpracy z nimi. Jak to zrobić, by równocześnie zaspakajać coraz to większy apetyt sowiecki i utrzymać W. Brytanię i Stany Zjednoczone jako wielkie mocarstwa? Jak pogodzić ogień z wodą?

Jest to kwadratura kola. Nie rozwiązali jej uczeni, nie rozwiążą jej i politycy. Na świecie wytwarza się stan jakiegoś marazmu, jakiegoś dreptania w kółko na miejscu. Wygląda tak, jak gdyby świat oczekiwał jakiegoś cudu. Ale polityka nie ma nic wspólnego z cudami. Jest ona funkcją świadomej

woli, wyraźnych celów, odwagi i rzetelności działania. Rzekomi realiści polityczni anglosascy pozbywają się coraz bardziej swych iluzji. W. Churchill mówi w Aberdeen, że „świat jest bardzo chory. Nie wiemy, czy nienawiść i rozpacz nie sprawią, że staną przed nami większe i cięższe próby od tych, które z takim bólem i tak po męsku przetrwaliśmy“. I dodaje: „Nigdy nie było czasu, który by tak bardzo potrzebował zgody człowieka z Bogiem“.

Staropolskie przysłowie powiada: „Jak trwoga, to do Boga.“ Szkoda, że ten genialny Anglik nie myślał o Bogu w Teheranie, Jalcie i Poczdamie. W ostatniej debacie w Izbie Gmin Churchill jest niestety w dalszym ciągu obłudny, gdy atakuje premiera Attlee i min. Bevina, m. in. za to, że zbyt wolno demobilizują armię brytyjską, a wydatki na wojsko są ciągle olbrzymie. To jest propagandowy, partyjny chwyt, niegodny tak wielkiego męża stanu, jakim jest Churchill.

To przecież jego polityka jako b. premiera zmusza dziś W. Brytanię do tych olbrzymich wysiłków. Stwierdza to prem. Attlee na zebraniu Partii Pracy w New Castle: „Odziedziczyliśmy bardzo trudne i ciężkie problemy“. Lecz prem. Attlee nie szuka istotnych rozwiązań tych problemów. Sprawy gospodarcze przesłaniają mu problemy polityczne. A przecież naprzód cała Europa musi być naprawdę wolna, by mogła urządzić się gospodarczo. Premier Attlee odżegnuje się imieniem Partii Pracy od komunistów. On i jego poprzednik Churchill bronią Grecję przed dzikim komunizmem, a nas usiłują pchnąć w jego objęcia. Ba! Mają żal do nas, że się zdecydowanie temu sprzeciwiamy.

Znacznie realniej oceniają sytuację zwycięscy wodzowie anglosascy. Gen. Eisenhower mówi na konferencji prasowej w Waszyngtonie, iż dopóki nie zaistnieją odpowiednie warunki, Stany Zjednoczone muszą posiadać odpowiednie siły zbrojne i ciągle je ulepszać. Powściągliwy w słowach zwycięski marsz. Montgomery mówi: „Jest parę chmur nad nami. Mogą się one albo rozejść, albo zgromadzić w większej ilości i spowodować deszcz. Musimy mieć pełne zaufanie do naszych przywódców. Oni będą się starali, byśmy mieli w dobrym stanie parasole, gdy deszcz się zacznie. Nie daliśmy się nigdzie w czasie ostatniej wojny, nie damy się i teraz“ — kończy marsz. Montgo-

mery.

Już raz parasol odegrał wielką rolę w dziejach W. Brytanii. Było to w okresie Monachium w 1938 roku. Potem przysła wojna z Niemcami.

A strona sowiecka, jak zwykle nie pozostawia żadnych złudzeń reszcie świata. W swym pierwszymajowym przemówieniu Stalin oświadcza, że sowiecka armia, marynarka i lotnictwo nie zawiodą jego oczekiwań i wypełnią swe zadanie. Prowadzący defiladę marsz. Rokossowski dodaje, że sowieckie siły zbrojne muszą pozostać w stanie alarmowym i zachować całą swą moc. „Musimy prześcignąć Amerykę!” głoszą plakaty pierwszomajowe w Moskwie. Tak więc obie strony ustawiają się do przyszłych rozstrzygnięć. Na świecie zaczyna być duszno.

Lecz najważniejszą przy ocenie obecnej sytuacji jest wymowa faktów. Kapitulacja Anglosasów w sprawie perskiej, impas obecnej konferencji paryskiej, projekt przeniesienia dużej części wojennego przemysłu z Anglii do Australii, zdekonspirowana przez Sowiety budowa olbrzymiej bazy amerykańskich superfortec we Foggi na półwyspie włoskim — oto niektóre z tych faktów.

Ten sam brak zdecydowania ze strony Anglosasów widzimy również w sprawie Polski. W dalszym ciągu omija się tutaj istotę polskiego problemu. Jesteśmy bardzo wdzięczni Anglosasom, gdy usiłują oni pomóc naszemu Krajowi w jego nędzy i głodzie. Ale to nie rozstrzyga polskiej sprawy. Postawmy ją uczciwie i po męsku.

Podstawą stosunków naszych z W. Brytanią jest traktat polsko-brytyjski z 25 sierpnia 1939 r. W myśl tego traktatu był się żołnierz polski również za całość i niepodległość W. Brytanii na wszystkich polach bitewnych tej wojny. I on, i cały Naród Polski rzetelnie i uczciwie wypełnili swe zobowiązania sojusznicze wobec W. Brytanii. Natomiast nasz sojuznik brytyjski złamał samowolnie traktat i zdradził swego pierwszego i najwierniejszego sprzymierzeńca w sposób nieznaną w historii świata.

Polska nie uznała i nigdy nie uzna układów w Teheranie, Jalcie i Poczdamie. Są one nielegalne, zawarte wbrew naszej woli i zgodzie, są złamaniem międzynarodowego prawa, w obronie którego trwa ta wojna. Nie można się obłudnie oburzać na Sowiety, gdy się samemu złamało prawo i podeptało uroczyste podpisany układ. To się mści. Próba demobilizacji Polskich Sił Zbrojnych jest dalszym bezprawiem. Nas

zwolnić ze służby mogą tylko nasze legalne, najwyższe władze państwowe polskie. Min. Bevin nie może nas zwolnić ani od naszej żołnierskiej przysięgi, ani od obowiązku dalszej o Polskę walki. Żołnierz polski jest zmuszony dzisiaj do płacenia własnym kosztem za tragiczne błędy brytyjskiej polityki. Będzie on jednak dalej walczył aż do zwycięstwa.

Czas biegnie szybko i zmienia się bardzo. Wojna trwa. Polska położona w sercu Europy wraz z otaczającą nas grupą państw Międzymorza — może się stać niebawem kluczowym, aktualnym punktem politycznym Europy. Niechże się nad tym zastanowią ci, co dziś tak lekko-myślnie chcą zlikwidować ostatniego żołnierza wolności w Europie.

Z okazji debaty nad demobilizacją Polskich Sił Zbrojnych w Izbie Lordów — mówi lord Salton: „Szaleństwem jest pozbywać się tych ludzi i dodawać jeszcze jedną więcej plamę na powierzchni ziemi, gdzie imię W. Brytanii zostanie na zawsze zohydzone. Pamięć o tym fackie nie zginie ani za 50, ani za 100, ani za 150 lat”. A lord Craven dodaje: „Jeśli W. Brytania ma zachować swą wielkość, musi ona dochować swego honoru i swego słowa.”

Do tych słów niewiele mamy do dodania. Tak samo bezprawiem i mydleniem oczu są próby załatwienia problemu polskiego przez wybory w Polsce w obecnych warunkach, na podstawie układów jałtańskich. Odrzucamy te pró-

by. Naprzód niepodległość, a później wybory.

Anglicy uznają w polityce potrzebę kompromisu. My także, ale nie kosztem naszej wolności i niepodległości. Takiego kompromisu nie przyjęłaby przecież także i W. Brytania dla siebie. My jesteśmy biedni i mamy tylko Polskę. Nie mamy czym ani handlować, ani nic do oddawania. Nikomu i nigdy. Dlatego też tego naszego jedyne dobra — wolności, całości i niepodległości Polski bronić będziemy do ostatka.

To muszą zrozumieć nasi sojusznicy. Wtedy ze ślepego zaułka min. Bevina wyjdą na drogę prawdziwej wolności świata i własnej wielkości. Muszą tylko tego chcieć. Rosja bowiem nie jest dziś silną przez swą istotną siłę, a tylko na skutek obecnej słabości Anglosasów, którzy nie chcą zrozumieć, jak wielką posiadają siłę materialną i jak wielką mogliby mieć siłę moralną.

Propozycja amerykańskiego sekretarza stanu spraw zagranicznych Byrnesa, złożona przezeń na konferencji paryskiej, by sprzymierzeni poddali rewizji warunki układu o zawieszenie broni zawartego z Włochami i rewizja tego układu są jak gdyby pierwszą jaskółką otrzeźwienia polityki anglosaskiej. Jeśli w ślad za nią Anglosasi zażądają rewizji układów jałtańskich, teherańskich i poczdamskich — i jeśli tę rewizję istotnie przeprowadzą — świat będzie ocalony.

Oni sami także. Ale tylko wtedy.

Jan Walewski

## Co nam mówi wystawa junacka

*Artykuł poniższy przeznaczony był do poprzedniego numeru, lecz wskutek nawalu materiału nie mógł być tam umieszczony. Red.*

Dużo można by pisać o wystawie szkół junackich, którą oglądaliśmy w Jerozolimie podczas świąt wielkanocnych. Ale cokolwiek byśmy pisali, bilans wypadnie zawsze na wielki plus, dający miarę tego, co Polacy potrafią osiągnąć, gdy zwartym szeregiem staną do konkretnej pracy.

Nie zamierzamy rozpatrywać szczegółów wystawy i podkreślać, co było dobre, a co można by zrobić inaczej lub może lepiej. Ważniejsze jest to, co wystawa mówi jako całość. A mówi ona przede wszystkim dwie rzeczy.

Wystawa nie była dziełem jednostki lub ciasnej grupy kierowniczej. Nie

podkreśliła ona niczyjej wyłączności. Była wibitnie dziełem zbiorowym. Oto kilkuset dowódców, profesorów, nauczycieli, opiekunów itd. — uszeregowanych hierarchicznie od komendanta szkół, który myśli o wszystkim, do np. kobiety, która gotuje w kuchni szkolnej — pracowało w ciągu niespełna czterech lat w niełatwych warunkach ucząc, wychowując, odżywiając, hartując itd. kilka tysięcy młodzieży, a teraz pokazało nam, jakie wyniki dała ta wspólna kierowników i młodzieży praca.

A wyniki wzbudzają szacunek i usadniają naszą wiarę, że Polska da sobie radę.

Ktoś powiedział, że wystawa była najlepszą propagandą młodej Polski, jaką widział Środkowy Wschód. Tak, lecz „propaganda” — to zbyt wyświechtany wyraz w tym wypadku, bo tam były tylko fakty, które mówią.

Ta bezosobowa siła wystawy jest symboliczna i odpowiada ogólnej ewolucji, którą nasz naród odbył od roku 1914.

W poprzedniej wojnie Polska nie była jeszcze skonsolidowana i osiągała swe wyniki przy dużym udziale wysokowartościowego zespołu kierowniczego. Tak się wtedy złożyło, że nie tylko główna postać: Józef Piłsudski, lecz także szeregi jego pomocników i antagonistów — to byli ludzie wielkiej klasy. Natomiast, masy narodu nie były jeszcze gotowe do własnych wyczynów. Nie były zdolne narzucić kierownictwu swej przewagi. Odwojowaliśmy więc tamtą wojnę pod znakiem potężnych indywidualności i w dużej mierze im zawdzięczamy ówczesne zwycięstwo.

Natomiast, w wojnie obecnej jest przeciwnie. Teraz Polska stoi i trwa wysiłkiem, pracą, walką i wolą swych mas. Cokolwiek robi masa polska — jest imponujące: postawa narodu i wojska w roku 1939, walka Kraju z okupantami, powstanie warszawskie jako zapamiętała walka mas, korpus wdzierający się na Monte Cassino itd. A cokolwiek zależało w tej wojnie od państwowego zespołu kierowniczego — to wszystko jakoś się nie udawało. Wciąż tkwimy w starej metodzie liczenia na geniusz kierowniczy, a przeszliśmy najwyraźniej na wyższy szczebel rozwoju, gdy główną siłę narodu stanowi dominująca wartość zbiorowych osiągnięć jego szerokich mas. Wystawa junacka jest tego jednym z przykładów.

Drugie, co nam mówi wystawa, odnosi się do wartości pokolenia, które za nami nadchodzi.

Zrobiono uwagę, że pokolenie to nie interesuje się przeszłością, nie zajmuje przyszłością, lecz żyje teraźniejszością. Może nie należy tak uogólniać, ale niewątpliwie młodzież ta w tym okresie wojennego roznamiętnienia pokazała nam wielokąty dokładnie dopasowane, stożki świetnie obtoczone, instrumenty precyzyjnie wykonane, dobre rysunki i robótki, zeszyty protokołów zebrań dyskusyjnych w kołach naukowych itd. A więc umie się skupić przy konkretnej pracy. Wszyscy zaś wiedzą, że pokolenie to także umiało gołymi rękoma bronić Warszawy lub z nowoczesnym sprzętem szturmować niemieckie bastiony.

W okresie niepodległości młodzież polska roztrwoniła niejednym semestrem na jałową politykę. A jałową polityką niczego się nie buduje.

Natomiast — młodzież, która w okresie takiego napięcia, jak wojna, pracuje realnie i dba, by „stożki dokładnie ob-

taczać”, taka młodzież potrafi i w czasie pokoju rozwiązać praktycznie każdy konkretny problem polski.

Napawa nas to nadzieją i zachęca, by tym bardziej żądać dla tego pokolenia takich warunków, na jakie zasługuje.

Podnosimy stale myśl, że Polska jest przeznaczona do przodowania narodom Międzymorza. Mogło się wydawać, że to tylko nierealne i nieuzasadnione marzenie podstarzałych polityków, którzy niezadługo już przeminą, a z nimi przeminą ich marzenia.

Ale wystawa junacka mówi, że oto za

## Przegląd wydarzeń

### LIKWIDACJA WOJSKA POLSKIEGO

Likwidacja wojsk polskich w *obecnym momencie* napięcia pomiędzy W. Brytanią i Rosją wydaje się niezrozumiałą. Wojska Anglikom w ogóle brak. Na terenie Włoch 100-tysięczny Drugi Korpus gen. Andersa stanowi jedną trzecią wszystkich sił zbrojnych alianckich na całym półwyspie. Wojska polskiego we Włoszech jest więcej, niż wojska amerykańskiego. Likwidacja z Korpusu odbija się więc poważnie na równowadze sił w całym rejonie śródziemnomorskim. Sygnalizowana koncentracja wojsk Tito w okolicy Triestu wskazuje, że niespodzianki z tej strony nie są wyłączone. Niewątpliwie także jest wzmożenie wewnętrznej agitacji komunistycznej we Włoszech po osłabieniu wojsk okupacyjnych.

Dlaczego więc rząd brytyjski w tej właśnie chwili, pomimo napięcia stosunków z Rosją i pomimo wyraźnej antybrytyjskiej postawy reżimu Bierut-Osubka-Mikołajczyk, decyduje się zrobić maksymalny wysiłek, by — zachowując pozory przyzwoitości — doprowadzić jednak do likwidacji Armii Polskiej?

Na to pytanie możemy odpowiedzieć jedynie przypuszczeniami. Zdaniem naszym, należy szukać przyczyn tego stanowiska rządu brytyjskiego zarówno w polityce zewnętrznej, jak i wewnętrznej W. Brytanii.

W polityce zewnętrznej wygląda likwidacja wojsk polskich na jeszcze jeden gest w stosunku do Rosji. Jest to gest, który ma znaczyć: „Uznajemy władzę rosyjską nad Polską i całą Europą wschodnią — a za to dajcie nam święty spokój na Bliskim Wschodzie”. Jest to jeszcze raz próba ofiarowania polskiej krwi za perską naftę, próba podkreślenia, że Anglia trwa przy stanowionym w Teheranie i Jalcie wy-

nami nadchodzi takie pokolenie, które będzie w stanie ubiegać się o prymat na Międzymorzu. Było przecież dużo narodów na emigracji: praktyczni Czesi, zapalczywi Jugosłowianie, przebiegły Grecy itd., ale nie słyhać, by ktokolwiek pokazał taką młodzież i taką organizację, jak Polacy.

Jeśli żądamy, by Polska wzięła na siebie wielkie zadanie, to nie dla siebie, tylko dla tego pokolenia, które za nami nadchodzi i tak się zapowiada, iż można na nim polegać i włożyć na jego barki to wielkie zadanie.

St. P.

cofaniu się ze spraw Europy środkowej i wschodniej z jednoczesną „propozycją”, aby Sowiety zadowolili się posiadaniem Europy środkowej i wschodniej.

Oczywiście, gest ten żadnych skutków mieć nie będzie i Rosji nie tylko nie powstrzyma, lecz, przeciwnie, rozzuchwiała ją.

Ważniejszym przecież motywem w decyzji likwidacji W.P. wydaje się — mało znany — motyw polityki wewnętrznej brytyjskiej.

A mianowicie w dniu 6 czerwca r. zbiera się kongres brytyjskich Trade Union'ów (związków zawodowych). Jak wiadomo, na związkach zawodowych oparta jest angielska Labour Party. Na kongresie rozpatrywana będzie propozycja komunistów angielskich o dopuszczenie ich do związków zawodowych. Dorywczas organizacje komunistyczne nie są dopuszczane do tych związków. Jeśli zostaną dopuszczone — infiltracja wpływów komunistycznych do całej Labour Party i rozsadzenie jej od wewnątrz będzie tylko kwestią czasu.

Otóż — stwierdzić trzeba, że już w tej chwili komuniści uzyskali tak duże wpływy w niektórych związkach, że ich zgłoszenie, aby kongres oficjalnie dopuścił organizacje komunistyczne, znalazło poparcie w prezydiach licznych Trade Union'ów. Pomimo więc, że rząd obecny brytyjski zajął stanowisko zdecydowanie negatywne wobec propozycji komunistycznej — rezultat głosowania kongresu nie daje się przewidzieć. W chwili obecnej jest około 30 posłów do parlamentu z Labour Party, którzy znajdują się wyraźnie pod wpływami komunistycznymi.

Stwarza to sytuację, w której rząd brytyjski boi się jak ognia wszelkich oskarżeń o „reakcyjność”. Ponieważ

wojsko polskie stanowi jeden z głównych obiektów ataku komunistów i fellow-travelers — rząd Labour Party, wydaje się nie chce bronić na kongresie tego punktu, który uważa najwidoczniej za drugorzędny w swojej polityce. Innymi słowy Labour Party idąc do starcia z komunistami na kongresie związków zawodowych nie chce być podczas tej bójki skrępowana obowiązkiem obrony Polaków. Kto wie, czy nie jest to najważniejszą przyczyną decyzji likwidacyjnej.

(„Biuletyn Organizacyjny” KNAPPu, kwiecień 1946).

### „WSPÓLPRACA”

Fiasko konferencji paryskiej dowodzi raz jeszcze, że współpraca Zachodu ze Wschodem nie jest możliwa. Można mówić jedynie o *targach* między wielką trójką, kosztem narodów mniejszych, ale nie o współpracy. Zasadnicze różnice w światopoglądach, metodach i celach jednej i drugiej strony czynią z tej współpracy szkodliwą fikcję. Do jakiego stanu ona świat doprowadziła, świadczą dwa przemówienia, jedno wygłoszone przez papieża, drugie przez b. przewodniczącego Rady Bezpieczeństwa, Afifi paszę.

Papież przemawiając w przeddzień wyborów we Francji i we Włoszech stwierdził stanowczo, że pokój zanika gwałtownie w gorzkich sporach międzynarodowych i w bezbożności. Na świecie panuje przygnębiające uczucie niepokoju i niebezpieczeństwa. Straszliwy konflikt grozi światu, między obrońcami cywilizacji chrześcijańskiej a jej niszczycielami. Wybory we Włoszech i we Francji rozpoczną krucjatę katoliczką przeciw niszczycielskim siłom państwa materialistycznego, które spycha człowieka do roli maszyny pozbawiającego idealizm transcendentálny — wiary w Boga i nieśmiertelność duszy.

„W rok po zakończeniu działań wojennych” — mówił na zakończenie swojej kadencji przewodniczącego Rady Bezpieczeństwa delegat Egiptu, Afifi pasza — „wszystkie narody milujące pokój są rozgoryczone i rozczarowane tym stanem rzeczy, jaki zapanował w Europie, ponieważ ideały, o zwycięstwo których walczone, poszły już w niepamięć. Narody te są rozczarowane dlatego jeszcze, że widzą, jak daleko jest od nich prawdziwy pokój”.

Do czego ta „współpraca” doprowadziła, świadczy dalej klęska moralna zwycięzców zachodnich, którzy wbrew swoim przekonaniom i zobowiązaniom

opuścili własnych sprzymierzeńców, Polskę i Jugosławię, tak haniebnie, że nie stać ich dzisiaj nawet na obronę słuszných praw tych ludzi, którzy z bronią w ręku walczyli o wspólną sprawę — w pierwszym wypadku żołnierzy armii polskiej, w drugim — jugosłowiańskiej z jej bohaterskim wodzem, generałem Drażą Michajłowiczem na czele.

\* \* \*

Czterej ministrowie dyskutowali na konferencji paryskiej najszczegółowiej warunki traktatów pokojowych dla b. satelitów Hitlera. Specjalną uwagę poświęcili traktatowi z Włochami. Różne ich stanowiska wobec sprawy Triestu, przyszłości kolonii i odszkodowań wojennych nie doprowadziły do osiągnięcia porozumienia. Sowiety domagały się Triestu dla Jugosławii, 300.000.000 dolarów — pod postacią urządzeń fabrycznych — tytułem odszkodowań wojennych oraz mieszanego powiernictwa nad koloniami, z tym że w Trypolitanii i w Erytrei przewodniczącym rady powierniczej byłby Rosjanin.

W wyniku kilkunastodniowych targów sprawa Triestu nie ruszyła z miejsca zupełnie, ale Sowiety ustąpiły z 300.000.000 dolarów na 100.000.000 i zgodziły się na propozycję francuską przewidującą przekazanie kolonii OZONOWI z tym, że powiernikiem na miejscu będą sami Włosi. Wobec niemożliwości uzgodnienia stanowisk czterech ministrów w sprawie odszkodowań (Sowiety domagały się przydziału z nowoczesnego przemysłu włoskiego oraz niezależnie od tego części floty włoskiej), nastąpiły tutaj kilkudniowe wywody Byrnese, próbującego ustalić definicję łupu wojennego, lecz problem ten pozostał nierozwiązany.

W zasadzie na propozycję francuską w sprawie kolonii Stany Zjednoczone i Wielka Brytania zgodziły się również. Wielka Brytania jednak zastrzegła sobie, powołując się na obietnice w tej materii uczynione, prawo przyznania niepodległości Libii, Cyrenajce i Trypolitanii.

Liga Arabska zaprotestowała gwałtownie przeciw projektowi francuskiemu grożąc powstaniem zbrojnym w tych krajach w wypadku powrotu Włochów. Tak więc i ten problem pozostał nierozwiązany.

Dyskusja nad traktatami pokojowymi dla państw bałkańskich trwała bardzo krótko — ze względu na kompletną rozbieżność zdań. Wyszło tu na jaw, że na jednej z tych konferencji w dob-

rych czasach (do których Sowiety tak wzdychają), w Jaltcie czy Poczdamie, zapadła decyzja ewakuowania Bułgarii przez Sowiety.

Rozmowy na tematy związane z gospodarczą i polityczną przyszłością Niemiec utknęły bardzo szybko na martwym punkcie wobec stanowiska Molotowa, który zaprzeczył twierdzeniu Byrnese, jakoby Stalin wyraził zgodę na dwudziestopięcioletnią okupację Niemiec w wypadku przedstawienia takiego planu przez Stany Zjednoczone.

(Bezpośrednią reakcją Amerykanów na takie stanowisko Sowieców jest zerwanie z układem poczdamskim — co omawiamy na innym miejscu — oraz przeniesienie do Europy, w najbliższej przyszłości, potężnej armady powietrznej, złożonej z 2.300 samolotów).

Byrnes, który już dzisiaj dźwiga na sobie nareszcie ciężar wspólnego frontu anglo-amerykańskiego, widząc, że nieprzejednany upór Molotowa utrudnia jakiegokolwiek porozumienie, zaproponował ustalenie daty powszechnej konferencji pokojowej, która by rozpatrzyła wszystkie sprawy sporne. Molotow natychmiast się temu sprzeciwił twierząc, że jeśli cztery mocarstwa nie mogą osiągnąć porozumienia między sobą, to cóż dopiero mówić o zgodzie między dwudziestoma państwami. Molotow nalegał bardzo silnie, przez cały czas konferencji, na powrót do koncepcji wyłącznej współpracy wielkiej trójki, która z takim powodzeniem urzędowała już świat w Teheranie, Jaltcie i Poczdamie! Ale Anglosasi wyszli już, zdaje się, poza okres dyplomacji tajnej, która w stosunkach z Sowiecami wcale im nie przyniosła korzyści.

Na nic nie przydały się oskarżenia Molotowa (w mowie wygłoszonej po przemówieniu Byrnese, który zaproponował przedłożenie OZONOWI całego porządku dziennego konferencji paryskiej) pod adresem Byrnese: o dążenie do spowodowania chaosu w stosunkach międzynarodowych, ani zwalanie odpowiedzialności za niepowodzenie konferencji na „blok anglo-amerykański”. Świat jest już dzisiaj świadom celów polityki sowieckiej, przynajmniej tych na metę najkrótszą, i apele Moskwy do opinii światowej na wiele się nie przydadzą.

Byrnes w swojej mowie zapowiedział przedłożenie wszystkich spornych kwestii międzynarodowych (w wypadku fiaska konferencji czterech ministrów, ustalonej na 15 czerwca) Zgromadzeniu Ogólnemu OZONU jeszcze w lecie tego roku. Jeśli przypomnimy sobie, że

Churchill za czasów swojego premiorowania ostrzegał, iż dwa lata potrzeba Sowiecom na doprowadzenie prac nad konstrukcją bomby atomowej do końca, jeśli pamiętamy, że w swej słynnej mowie wygłoszonej w Fulton Churchill powiedział, że do porozumienia z Sowiecami musi dojść w roku 1946, i jeśli zestawimy z tymi terminami okres wyznaczony na porozumienie przez Byrnesa — lato roku 1946, wtedy spostrzeżemy, że polityka anglo-amerykańska w obawie przed powiększeniem się niebezpieczeństwa sowieckiego w roku przyszłym, przez zdobycie bomby atomowej, zmierza konsekwentnie do wyjaśnienia sytuacji jeszcze w roku bieżącym. Konsekwencje tej polityki można już dzisiaj przewidzieć. W roku 1946, przy utrzymaniu się obecnej linii politycznej Sowieców, zostaną wyczerpane ze strony Anglosasów wszystkie środki pokojowe, jakimi oni rozporządzają, do nawiązania owocnej współpracy pokojowej z Sowiecami. Rok 1947 winien przynieść całkowitą zmianę stanowiska Anglosasów wobec Sowieców.

\* \* \*

Mimo widocznego rozdźwięku między Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi a Sowiecami doszło jednak w Paryżu do porozumienia w dwóch sprawach. Uległy rewizji warunki zawieszenia broni z Włochami kosztem wycofania się Anglosasów z Rumunii i Bułgarii. Z wypowiedzi pewnych dzienników amerykańskich oraz z dyskusji deputowanych czterech ministrów, toczących się dalej w Paryżu, wynika, że Wielka Brytania i Stany Zjednoczone, wzamian za uzyskanie „wolnej ręki” we Włoszech (gdzie rozwiązano komisję aliancką), zgodziły się na rozwiązanie takich samych komisji w Rumunii i Bułgarii. Potwierdzenia tych wiadomości doczekamy się najprawdopodobniej na nowej konferencji paryskiej. Będzie ona oznaczała dalsze pogłębienie się podziału Europy na dwie strefy wpływów.

\* \* \*

Niezależnie od fiaska konferencji paryskiej, mamy szereg innych równie ważnych dowodów coraz wyraźniejszego rozłamu między Sowiecami a Stanami i Wielką Brytanią. Jednym z nich jest problem aprowizacji narodów zagrożonych głodem.

Widzimy, jak Wielka Brytania i Stany Zjednoczone czynią wszystko, co mogą, dla usunięcia tej straszliwej groźby. UNRRA, do której Sowiety nie wpłaciły jeszcze ani grosza na konto swoich należności, uczyniła już bardzo wiele. Ale przypomnijmy sobie, że Sowiety

nie chciały wpuścić UNRRA do Jugosławii, wtedy gdy ludzie już marli z głodu żądając przekazywania całego zapotrzebowania jeszcze w portach urzędnikom jugosłowiańskim. Pamiętajmy, że Osubka-Morawski oskarżył ostatnio UNRRA o wywieranie wpływu politycznego we Włoszech i w Grecji, co niewątpliwie jest zapowiedzią ograniczenia działalności tej instytucji w Polsce (i co spowodowało protest rządu brytyjskiego). Pamiętajmy, dobrze pamiętajmy, że gdy światu grozi głód, Sowiety nie odpowiadają w ogóle na apele UNRRA i rządu amerykańskiego o pomoc przy rozwiązaniu tego tragicznego problemu, a Stalin osobiście odrzuca dwukrotnie usilną prośbę prezydenta Trumana w tej samej materii. Tak oto przedstawia się „współpraca aliantów” w sprawach nie mających żadnego związku z polityką — w dziedzinie czyśto humanitarnej.

\*

W Austrii aliancka komisja kontrolna od dawna nie może ustalić wspólnej linii politycznej, gdyż wszystkie usiłowania przedstawicieli trzech mocarstw rozbijają się o stanowisko Sowieców w sprawie podziału aktywów niemieckich. Spór ten, jak ujawnił Waszyngton, trwa już bardzo długo. Polega on na tym, że Sowiety odmawiają uparcie przyjęcia propozycji pozostałych mocarstw — przeprowadzenia podziału aktywów niemieckich i żądają przyznania im wyłącznego prawa pertraktacji w tym przedmiocie bezpośrednio z Austrią. Na to ani Francja, ani Wielka Brytania, ani Stany Zjednoczone nie mogą się zgodzić, gdyż Sowiety za te aktywa uważają prawie cały przemyśl austriacki, flotylę rzeczną, banki i towarzystwa ubezpieczeniowe. Zamiar Sowieców nie trudno odgadnąć. Chciałyby one ogołocić Austrię zupełnie z instalacji fabrycznych i z kapitału, podobnie jak ogołociły Polskę, państwa bałtyckie, Bałkany, Niemcy wschodnie i Mandżurię. „Pas bezpieczeństwa”, jaki Sowiety przy pomocy Anglii i Ameryki dokola siebie rzuciły, z ruin być musi i pustkowią. Zniszczenia wojny w tym pasie należy jeszcze powiększyć dla wzmocnienia siebie i zniechęcenia kapitału obcego do inwestycji.

Najważniejszym jednak problemem, który pogłębia coraz widoczniej przepaść między „aliantami” jest problem Niemiec. Zaszły w nim ostatnio niezmiernie ważne zmiany. Generał Clay, zastępca głównodowodzącego wojskami amerykańskimi w Europie, podał do wiadomości decyzję swego rządu w

sprawie reparacji wojennych dla Sowieców. Reparacje te zostały wstrzymane. Ustało rozmontowywanie 150 fabryk przeznaczonych dla Sowieców z tytułu odszkodowań wojennych. W kilka dni po decyzji amerykańskiej Anglicy zajęli stanowisko podobne. Ten brzemienisty w skutki krok Anglosasów został spowodowany stanowiskiem Sowieców wobec postanowień poczdamskich odnośnie Niemiec. Niemcy, oświadczył generał Clay, winny być traktowane, na podstawie postanowień poczdamskich, jako całość gospodarcza. Sowiety jednak utrudniają w każdy możliwy sposób wprowadzenie tej polityki w życie, wobec czego Stany Zjednoczone są zmuszone do wstrzymania dostaw dla nich z tytułu odszkodowań wojennych, przechodzących z przemysłu niemieckiego. Jeśli Sowiety nie powrócą do postanowień poczdamskich, Stany Zjednoczone będą musiały dojść do wniosku, że te postanowienia przestały obowiązywać.

Ta stanowcza akcja podjęta z inicjatywy amerykańskiej również i przez Anglików jest ostrzeżeniem dla Sowieców, że jeżeli nie pójdą na ustępstwa na nadchodzącej konferencji w Paryżu, to opór anglosaski wobec nich wzrośnie. Jest ona również dowodem ustalonej polityki anglo-amerykańskiej w stosunku do Niemiec. Ponadto wyjawienie planu zaprowadzenia centralnej egzekutywy politycznej i gospodarczej dla okupacji amerykańskiej i angielskiej świadczy, że Anglosasi gotowi są zaniechać dalszych prób współpracy z Sowiecami na terenie Niemiec. Wypowiedzi marszałka Smutsa po konferencji dominialnej w Londynie potwierdzają ten zamiar.

Jak dotychczas brak jest jeszcze oficjalnej reakcji sowieckiej. Ujawni się ona z pewnością na nadchodzącej konferencji. Prawdopodobnie jednak faktu pogłębienia się dalszego podziału Europy i różnic między „aliantami” nie zmieni.

\* \* \*

Na Korei, której południową część zajmują Amerykanie, a północną Rosjanie, komisja aliancka przestała urzędować w ogóle. Amerykanie oświadczyli, że do czasu aż Rosjanie zniosą cenzurę prasową i cofną zarządzenia zawieszające prawo zrzeczeń i zgromadzeń komisja aliancka przestaje urzędować zupełnie.

W Mandżurii i Korei Edwin Pauley, dyrektor biura reparacji wojennych, zakłada swe placówki, celem ustalenia strat, jakie te kraje poniosły wskutek złupienia przez wojska sowieckie urzą-

deń i instalacji z fabryk oraz zakładów przemysłowych.

Mandżuria i Chiny są nadal rynkiem zamkniętym dla Stanów Zjednoczonych. Mimo ewakuacji wojsk sowieckich, przy interwencji generała Marshalla, pokój jeszcze tam nie nastąpił. Jedna trzecia Chin i trzy czwarte Mandżurii znajdują się w rękach komunistów, wspomaganych przez Sowietów. Ponadto Chiny związane są z Sowietami szeregiem traktatów, podpisanych nierozsądnie z namowy Amerykanów w tym okresie, kiedy to Amerykanom wydawało się jeszcze, że współpraca z Sowietami jest możliwa.

W Japonii stanowisko generała Mac Arthura wobec komunizmu i wpływów sowieckich jest zupełnie jasne. Ciągłe skargi Sowietów na stosunki Mac Arthura z Hirohito oraz starcia ich delegatów z delegatami amerykańskimi na terenie komisji alianckiej dla Japonii są dowodem, że Ameryka ustosunkowała się do komunizmu w Japonii zdecydowanie wrogo. Ażeby nie było w tym przedmiocie żadnych wątpliwości, należy przypomnieć przemówienie jednego z przedstawicieli generała Mac Arthura, Atchesona, który stwierdził, że Stany Zjednoczone nie życzą sobie komunizmu w Japonii.

#### ZACIESNIENIE WIĘZÓW MIĘDZY WARSZAWĄ I KREMLEM

Rząd warszawski miał dostać 90.000.000 dolarów pożyczki od Stanów Zjednoczonych. Suma upakarzająco niska, ale wątpić można, czy ją Warszawa zobaczy. W warunkach tej pożyczki Amerykanie zastrzegli, że w Polsce zostanie zniesiona cenzura na depeche korespondentów zagranicznych, będzie wyznaczona data wyborów i Warszawa poinformuje Waszyngton o szczegółach wszystkich swych umów handlowych (czy nie naruszają one klauzuli największego uprzywilejowania, jaką Waszyngton jeszcze w Polsce posiada na podstawie przedwojennej umowy handlowej) oraz poda do wiadomości publicznej warunki pożyczki.

Warszawa oczywiście nie wypełniła ani jednego punktu zobowiązań. Amerykanie więc pożyczkę wstrzymali. W odpowiedzi rząd agentów pojechał po instrukcje do Moskwy. O czym tam w Moskwie radzili, trudno wiedzieć, ale napewno nie o pomocy gospodarczej dla Polski, chociaż o niej mówi komunikat oficjalny. Raczej, należy przypuszczać, ustalano tam kurs polityczny wobec narodu polskiego. Rok spędzony w Warszawie przez agentów sowieckich: Bie-

ruta, Gomółkę, Morawskiego i innych w roli ministrów, premierów i prezydentów dał im dobry wgląd w wewnętrzne sprawy Polski. Muszą więc teraz to doświadczenie wykorzystać. Najdotkliwiej poczuje na sobie, zdaje się, skutki decyzji moskiewskich Mikołajczyk.

#### WYBORY W CZECHOSŁOWACJI

Wynik wyborów w Czechosłowacji, w których zwyciężyli komuniści, był do przewidzenia. Tłumaczy się on normalnym podejściem Czechów do każdego trudnego problemu politycznego, jaki wymaga odwagi i poświęcenia, choćby nawet dobrobytu materialnego. Czesi idą zawsze po linii najmniejszego oporu.

Nie sięgając dalej, jak tylko do ich stosunków z Niemcami hitlerowskimi, widzimy, że z pełnym spokojem przyjęli Monachium, bez oporu oddali Sudety, a podczas okupacji współpracowali z Niemcami bardzo wydatnie przez legalny rząd Hachy, ciesząc się powszechnym poparciem narodu. (Hachę potem struli obawiając się kompromitującego procesu). Nie zorganizowali żadnego ruchu podziemnego, gdyż nawet zamach na Heindricha był dziełem dwóch Czechów spadochroniarzy z Anglii. Przy wycofywaniu się Niemców z Czechosłowacji postrelali trochę w Pradze z okien i zza węglów z dubeltówek i z flowerów do taborów niemieckich, z czego zaraz zrobili bohaterkie powstanie.

Okupantów sowieckich przyjęli chlebem i solą — grunt pod to powitanie przygotowywał Benesz od dawna w Londynie — i czym prędzej oddali Ruś Przykarpacką Sowietom wyrzekając się z zadziwiającą łatwością własnego terytorium państwowego i własnych obywateli za obietnicę spokoju.

Cóż więc dziwnego, że głosowali na komunistów? Szwejk wyjaśniłby wynik wyborów mniej więcej w ten sposób:

— Cóż, moja pani, Anglicy i Amerykanie daleko, a Rosja blisko.

#### WYBORY WE FRANCJI

Dnia 5 maja br. naród francuski odrzucił w referendum powszechnym projekt konstytucji pierwszej konstytuancy, która proponowała jednoizbowy parlament, posiadający oprócz normalnych uprawnień ustawodawczych również bardzo ścisłą kontrolę nad władzą wykonawczą i sadowniczą. Projekt ten był niezmiernie demokratyczny — pełnia władzy miała się skupiać w rękach przedstawicieli ludu — tak demokratyczny, że gdyby został przyjęty, to z demokracji nie pozostało by we Francji śladu w ciągu jednego miesiąca.

Już z wyników referendum można było wywnioskować stosunkowo łatwo, że w wyborach do nowej konstytuancy zwyciężą postępowi katolicy. Wynik ten wykazywał, że walka jest niezwykle stanowcza i że Francja zaczęła rozumieć, iż walka toczy się o przynależność albo do sowieckiej orbity światopoglądowej, albo do anglosaskiej.

Ten bieg wypadków wpłynął wreszcie przekonywująco na Amerykanów, którzy zrozumieli nagle argumenty Bidaulta oraz Bluma o konieczności i możliwości wyrwania Francji spod wpływów sowieckich. Nieszczęściem dla Europy w czasie tej wojny i na początku okresu powojennego było niezrozumienie przez polityków i społeczeństwa anglosaskie istoty kryzysu, jaki Europa przechodzi.

Anglicy sądzili, że jest to kryzys so- cjalny, ponieważ sami taki kryzys przechodzą. Amerykanie nic w ogóle nie sądzili, gdyż ich to zupełnie nie interesowało, a na żadne oceny i sądy stać ich nie było. Tymczasem jest to przede wszystkim kryzys ideologiczny, walka wartości kultury chrześcijańskiej z marksistowskim światopoglądem materialistycznym. We Francji zaznaczył się on bardzo wyraźnie. Tego nie rozumieli ani Byrnes, ani Bevin.

Dopiero wynik pierwszego referendum rozjaśnił im w głowach. Widząc więc realną możliwość osłabienia we Francji wpływów komunistycznych, przyszli jej z pomocą. Lecz ani Ameryka, ani Anglia nie mają niestety na eksport ideologii. Toteż Ameryka pomogła, jak zwykle, dolarami (1.350.000 pożyczki). Anglia zaś, posiadająca we Francji pozycję niebardzo mocną przez swoją politykę w stosunku do de Gaulle'a, któremu Churchill utrudniał, jak tylko mógł, umocnienie się we Francji bezpośrednio po inwazji, oraz niepopularna przez swoje stanowisko wobec przyszłości zagłębia Ruhry i Saary, sprzeczne ze stanowiskiem postępowych katolików i komunistów, żądających również i politycznego odłączenia tego arsenału od Niemiec — ujawniła istnienie tajnego porozumienia lotniczego, które przewiduje udzielenie wszelkiej możliwej pomocy lotnictwu francuskiemu przez przeciąg trzech lat, łącznie z przekazaniem patentów i instruktorów.

Ta pomoc anglo-amerykańska swoje zrobiła. Francuzi dostrzegli zainteresowanie ich losami u Anglosasów i kredyt za nie dali, ma się rozumieć, adwokatowi przymierza z Zachodem, ministrowi spraw zagranicznych — Bidault. Ten czynnik dołączony do

zrozumienia istoty walki ideologicznej przyczynił się do zwycięstwa postępowych katolików w wyborach obecnych.

Komuniści otrzymali mniej więcej taką samą, o ile nie większą, ilość głosów. Najdotkliwiej ucierpieli socjaliści. Porażkę socjalistów tłumaczy ich polityka wahań z okresu pierwszej konstytuancy, oscylująca nerwowo między komunistami i postępowymi katolikami, z wyraźnym ciężeniem ku komunistom, oraz ich stanowisko wobec problemu zagłębia Ruhry i Saary. Tą sprawą interesuje się każdy Francuz. W ostatnim głosowaniu Gallupa prawie 70% Francuzów opowiedziało się za oderwaniem raz na zawsze tego zagłębia od Niemiec. Socjaliści jednak idąc nie wiadomo po co tutaj na rękę socjalistom angielskim zgadzają się jedynie na ekonomiczne, lecz nie polityczne odłączenie Zagłębia od Niemiec.

Wobec braku jednolitej większości w konstytuancie uformowanie i praca rządu będą niezwykle trudne.

#### WYBORY WE WŁOSZECH

Sytuację Włoch można porównać do sytuacji Grecji z tą różnicą, że nie były one w czasie wojny państwem alianckim. Ale ich położenie na Morzu Śródziemnym oraz wartości kryjące się w magicznym słowie „Rzym” — odpowiadającym mniej więcej wartościom posiadanych przez pojęcie „Ateny” — szybko powodują przyjęcie Włoch do rodziny zachodniej na powrót. Jest to zresztą szczególną troską Anglii, umacniającej wszelkimi środkami swoją zagrożoną pozycję na Morzu Śródziemnym i Bliskim Wschodzie.

Pisząc te słowa nie znamy jeszcze wyników wyborów do konstytuancy i referendum w sprawie monarchji. Nawet jeśli Włochy staną się republiką, to nie zmieni to wiele w ich wewnętrznej sytuacji politycznej, w zagranicznej zaś zbliży do socjalistów brytyjskich, dla których monarchia jest skompromitowana współpracą w faszyzm. Wybory do konstytuancy przyniosą zwycięstwo żywiłom umiarkowanym wliczając w nie i socjalistów. Wyniki tych wyborów nie wpłyną również decydująco w jakikolwiek sposób na kształtowanie się sytuacji politycznej Europy (było by przeciwnie przy zwycięstwie komunistów) z tej prostej przyczyny, że Włochy są słabe i pretendować do dużej roli politycznej ani nie chcą, ani mogą.

#### BLISKI WSCHÓD

Rokowania anglo-egipskie dobiegają końca. Choć obecnie powstała w nich przerwa spowodowana stanowiskiem egipskim w sprawie ustalenia daty ewakuacji wojsk brytyjskich oraz przyznania uprawnień Wielkiej Brytanii na terenie Egiptu w czasie wojny, to jednak jest pewne, że rokowania te zostaną zakończone pomyślnie dla Egiptu. Wielka Brytania musi się wycofać z Egiptu — tak jest zresztą jej zamiar — gdyż jedynie przez fakt ewakuacji zdoła ona uratować swój prestiż w tym kraju i wzmocnić swe wpływy wśród Arabów dając w taki sposób dowód, że popiera ich dążenia niepodległościowe.

Opozycja konserwatystów wobec planu ewakuacji jest bez znaczenia. Ma ona jedynie na celu stawianie wszelkich możliwych przeszkód rządowi Labour Party dla korzyści własnych. Gdyby konserwatyści byli u rządów, musieliby uczynić tak samo. Do ewakuacji i rewizji traktatu zmuszają rząd brytyjski takie fakty, jak — słabnący prestiż na Bliskim Wschodzie, polityka sowiecka, oskarżająca bez przerwy Wielką Brytanię o imperializm na Bliskim Wschodzie i szkoderenie interesem arabskim oraz nowy status międzynarodowy państw małych. Dążenie do udowodnienia światu swej demokratyczności w stosunkach międzynarodowych ze strony Wielkiej Brytanii oraz perfidna polityka sowiecka domagająca się głośno wolności od wpływów obcych dla państw małych powodują, że Wielka Brytania zmuszona jest tę wolność szanować — tam gdzie już nie ma innego wyjścia — lub udawać, że ją szanuje. Najważniejszą jednak rolę odgrywa potężniejszy nacjonalizm, nazwijmy go kolonialnym.

Ewakuacja Egiptu została przygotowana i ułatwiona przyznaniem niepodległości Transjordanii. Palestyna i Transjordanja zamieniają się na olbrzymią brytyjską bazę wojskową na Bliskim Wschodzie, zajmując miejsce Egiptu.

Znaczenie, jakiego nabrały Palestyna i Transjordanja obecnie, wzrosło w związku z faktem całkowitej kapitulacji rządu Sultaneha wobec Sowietów. Sultaneh rozwiązał swój stary rząd, złożony w większości z przeciwników Sowietów i utworzył nowy, prosowiecki. Jednocześnie odwołał z Rady Bezpieczeństwa ambasadora w Waszyng-

tonie Husseina Ala, którego ambasadorowanie, zdaje się, skończy się również w niedalekiej przyszłości.

Umocnienie się Sowietów w Persji zmusza Anglików do zwrócenia baczniejszej uwagi na swe pola naftowe i rurociągi w Persji, Iraku i Palestynie. Plan przeprowadzenia nowego rurociągu do Gazy w Palestynie, świadczy o zamiarze zbudowania tam wielkiego portu, prawdopodobnie czysto wojennego.

#### INDIE

Misja brytyjska dokonała dwóch ważnych rzeczy. Doprowadziła do zbliżenia między muzułmanami a hindusami, które to zbliżenie nie spowodowało jednak zmiany stanowiska hindusów, żądających wolności dla Indii niepodzielnych, — i postawiła konkretne propozycje dla utworzenia rządu tymczasowego, złożonego całkowicie z Hindusów. Rząd ten miałby sprawować władzę aż do czasu wyborów do kongresu, który by uchwalił konstytucję dla całych Indii. Indie same miałyby zdecydować o swych dalszych losach.

Sprzeciw przeciw propozycjom brytyjskim — niezmiernie dla Indii korzystnym — wyszedł ze strony przywódców muzułmańskich, którzy obawiając się dominacji hinduskiej żądają państwa niepodległego, tzw. Pakistanu dla 80 milionów swoich współwyznawców. Te żądania muzułmanów wydają się trochę wygórowane. Plan brytyjski zapewnia wielkim grupom religijnym i narodowościowym prawo łączenia się w jednostki jeszcze większe i niemal autonomiczne, o wysokim stopniu samorządu. Tak samo niezrozumiałe są obiekcje Sików oraz kasty „nietykalnych”. Wydaje się, że ten prymitywny nacjonalizm, budzący się na azjatyckim Wschodzie i na Bliskim, przybiera rozmiary nienaturalne.

Sprawdźniem intencji i wartości planu brytyjskiego jest stanowisko Gandiego, który udzielił mu swego poparcia.

Kilka dni temu w Delhi wydano komunikat zapowiadający kontynuację rozmów między misją brytyjską a hindusami, reprezentowanymi przez tzw. partię kongresową, najpoważniejszą partię Indii. Rozmowy te mają ustalić szczegóły dotyczące składu i pracy przyszłego rządu indyjskiego, złożonego wyłączenie z Hindusów.

J.Z.K.